



Porcelanowe światy

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w VII Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Porcelanowe światy

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH

w VII Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów

PULS SŁOWA

Warszawa 2016

Wydawca:

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Naczelna Izba Lekarska

Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie

ZLP Oddział Warszawa

SZPZLO Warszawa Praga-Północ

Redakcja: Maria Żywicka-Luckner

Patronat medialny konkursu:

Gazeta Lekarska

Puls

Zdrowa Praga

Własnym Głosem

ISBN 978-83-942437-1-5

Korekta: Elżbieta Antuchow

Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Zawadzka

Druk: Relex s.c., ul. Borsucza 13, Warszawa, e-mail: relex1993@gmail.com

modlitwa laleczki z porcelany

*nie upuść mnie
z chwilą gdy*

stawać będę się

żoną

Porcelanowe światy – a więc już nie składają porcelany z przysłowiowym słoniem, tylko całe światy! Niezwykłe, przepuszczające przez siebie słowa niczym światło. A przecież słowa potrafią ranić.

Po czymś takim, trudno na nowo zaufać, ponownie uwierzyć. Na jak długo można *zatrzasnąć myśli na kłódkę i zapadać się w pustkę*. Może już nigdy laleczka z porcelany *przebudzona dotykaniem siebie* nie odważy się na słowa z modlitwy – *nie upuść mnie*.

Znajdziecie Państwo w prezentowanych w Antologii utworach porcelanową kruchość, zamyślenie i mocne ożywienie – fakty i zmyślenia, bo opowiedziana historia, odnotowany sen, zapisane w pośpiechu marzenia, są jedną literacką rodziną, jak porcelana, porcelit, fajans i kamionka.

Majka Maria Żywicka-Luckner

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA JURY VII OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU POETYCKO-PROZATORSKIEGO „PULS SŁOWA” dla lekarzy i lekarzy dentystów

Na posiedzeniu w dniu 07.10.2016 r. jury VII OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU POETYCKO-PROZATORSKIEGO „PULS SŁOWA” dla lekarzy i lekarzy dentystów w składzie:

Marek Wawrzekiewicz – przewodniczący

Aldona Borowicz

Alina Chraśl-Sura

Waldemar Hładki

Majka Maria Żywicka-Luckner – sekretarz

po zapoznaniu się z 135 utworami poetyckimi (prace nadesłane przez trzech autorów nie spełniały wymogów regulaminowych) i 25 utworami prozatorskimi postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

w poezji

I nagrody nie przyznano

II nagroda ex aequo – **Jerzy Andrzejczak** z Łodzi – godło *Cranach*

– **Stefan Trzos** z Łodzi – godło *Serce*

III nagroda ex aequo – **Renata Paliga** z Gorzowa Wlkp. – godło *Domicella2016*

– **Joanna Matlachowska-Pala** z Opola – godło *Anestazja*

Wyróżnienia:

Zbigniew Kostrzewa z Łowicza – godło *Cymes*, **Andrzej Miś** z Krakowa – godło *Conrad*, **Emilia Kwiatkowska** z Górzna – godło *Flame*, **Eugeniusz J. Kucharz** z Katowic – godło *Stary niedźwiedź*, **Liliana Machoń** z Kawęczynka – godło *Jerzyk*, **Katarzyna Szewczyk** z Iławy – godło *Hydraulik2*, **Sławomir Szewczyk** z Boguty-Pianki – godło *Ego*, **Jan Stanisław Kamyk Kamiński** z Kraśnika – godło *Spartanin*, **Barbara Bruszyńska** z Poznania – godło *Viola*, **Walter Pyka** – godło *Walter*

w prozie

I nagroda – **Agnieszka Kania** z Opola – godło *Lunatyk*

II nagroda ex aequo – **Jarosław Paśnik** z Łodzi – godło *Klimek*

– **Renata Paliga** z Gorzowa Wlkp. – godło *Domicella2016/1*

III nagroda – **Jerzy Andrzejczak** z Łodzi – godło *Dukla*

Wyróżnienia: **Ludomira Zarębska** z Zagańska – godło *Honorata*, **Stefan Trzos** z Łodzi – godło *Serce1*, **Ewa Miszczak-Matuszewska** z Warszawy – godło *Emma*, **Marek Pawlikowski** z Łodzi – godło *Alfa*, **Wojciech Pająk** z Nowej Wsi – godło *Malec*, **Jadwiga Wielgat-Hejduk** z Mieszkowa – godło *Betula*, **Maria Magdalena Człapińska** – godło *Giewont*

Wyróżnienia drukiem w gazecie *Własnym Głosem*: **Zbigniew Kostrzewa** z Łowicza – godło *Pol*, **Zbigniew Jabłoński** z Gdyni – godło *Bosman*, **Apolonia Szarkowicz-Młyńska** z Olsztyna – godło *Szarak*, **Bolesław Sawicki** – godło *Brzeska 21*, **Irena Senderek** z Ostrowca Świętokrzyskiego – godło *Kamień*

Jury składa podziękowania Naczelnej Izbie Lekarskiej, Okręgowej Izbie Lekarskiej, Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, Związkowi Literatów Polskich, Dyrekcji SZPZLO Warszawa Praga-Północ, Dyrektor Centrum Promocji Kultury Praga-Południe za pomoc w organizacji VII Ogólnopolskiego Konkursu Poetycko-Prozatorskiego „Puls Słowa” dla lekarzy i lekarzy dentystów.

POEZJA

II nagroda *ex aequo*

Stefan Trzos – godło *Serce*

ze zgrzytem zatrzaskałem myśli na kłódkę
struny głosowe uwięziłem w klatce krtani
wyrazy uderzały bezgłośnie w pręty
niczym strwożony skowronek
rozpaczliwie tęskniący za wolnością
pióra fruwały w powietrzu
wprost do przewróconego kałamarza
maczałem w nim tęgę koniuszki lotek
kreśliłem na skórze nic nie znaczące symbole
koła kwadraty spirale i krzywe
labirynt z zerwaną nicią Ariadny
topiłem wosk by znów wzlecieć ku Słońcu
w przewidywaniu upadku

umieranie jest zawsze ciche...

Mleczna Droga

wlewała się przez szyjkę butelki
bez dna
w próżni myśli
potrząsałem Galaktykami
w poszukiwaniu Słowa
uparcie odwracałem
klepsydrę Czasu
kryjąc piasek pod kurtyną powiek
zaślepiony w nicości
darmo wyglądałem
gromu.

Przemijanie

siedziałem na brzegu łóżka patrząc w milczeniu
jak przesiąknięty zapachem śmierci
powoli zapadasz się w pustkę
twój rozum już obojętny na siność naskórka
powoli odkrywał tajniki innego bytu

stanowiliśmy niepodzielną całość
a może tylko bezładny i luźny zlepek figur
mozaikę wklęsłych i wypukłych kształtów
pełną załamań i łagodnych przejść między szczegółami
układających się wzdłuż fałdów szpitalnego prześcieradła
niczym pełzające zegary Salvadora Dali

przez tyle dni szukałem twojej drogi ku innemu życiu
cierpliwie utrwaląłem słoneczny układ linii papilarnych
gładziłem zmarszczki
dokuczliwe jak zadra pod paznokciem palca wskazującego
który wiódł na manowce

z rozedrganym sercem
ze ścian i ekranów monitorów
uparcie zdrapywałem resztki niedorzecznej nadziei
gdy twoja nieruchoma twarz szykowała się właśnie
do spokojnego snu

nigdy już nie odkryję nie wypowiem twojego imienia
nie nazwę kolejnych bezpowrotnie minionych
radości i cierpień

II nagroda *ex aequo*

Jerzy Andrzejczak – godło *Cranach*

Zegary

Przed północą
dają sobie chwilę namysłu
czyżby bały się przyszłości

a może któryś z trybów
wypadł z osi czasu

może wahadło
woli się nie wychylać
wskazówki nie chcą
odpowiadać przed Historią
gdy Tama Trzech Przełomów
zmieniła moment bezwładności Ziemi

może kukułka
lęka się ujrzeć świat
po kolejnej godzinie

zegary chciałyby się spóźnić
a te bardziej staroświeckie
nawet cofać

do emerytury
wolałyby dotrwać
jako zwykłe minutniki

Góry

Pamięci Jerzego Harasymowicza

Jeśli chcesz
na zawsze zostać
w górach
rozsyp się tam
po śmierci

to rada mądra tylko na pozór

przecież i tak
spłyniesz do morza

chyba że wiatr
rozniesie prochy
po obu stronach
działu wód
wtedy znajdziesz się
w dwu morzach naraz

w końcu i góry
powoli podążą
twoim śladem

spójrz jaka potężna ich część
leży już w gruzach

Studnia młodości

Najcnotliwsze niewiasty
i mężowie czcigodni
nie wstydzili się tam obnażać
dwór pokazywał nagość plebsowi
smutnych genitaliów i piersi
nikt nie osłaniał

W taki sposób to oddał
borsuczy pędzel Cranacha

Musiało też w tym miejscu
dochodzić do wypadków i nadużyć

Nie jeden zapewne utonął
gdy zbyt długo krył się pod wodą
nie jeden chciał wejść kilka razy
za tę samą opłatą
ktoś wypełził niemowlęciem
zarazem sierotą

Nie ma tego na obrazie?
Przecież Cranach nie pisał reportażu.

Tatuaże

Jaskrawo klute kwiaty zwiędną
jak skóra
w której kwitły

i zwiędłyby
nawet wyrosłe
z tętnic

ptak opuści skrzydła
wsparte o zarys łopatek
i głowę
wzdłuż wdowiego garbu

dawno temu zatrzymany w biegu
wesoły gekon
na zawsze skryje się w pachwinie

nosicielka tego modnego
ożywianego oddechem i ruchami
fresku
z trudem przekroczy ulicę

będzie może początek
ostatniej ćwierci naszego stulecia
będą na pewno bolały kolana

pod rękę ujmie ją Acedia
w geście fałszywym

III nagroda ex aequo

Renata Paliga – godło *Domicella2016*

Zasypianie

zastąpienie siebie w różnych wcieleniach komórek
różnych fazach czuwania
w rytm okrążeń ziemi
świat topnieje
przeistacza się w inny
stanowi różnice
to co było istotne zastyga
pyta o koniec początek
język staje się murowanymi szlakami których znaczenie rozumiesz
przed zakończeniem myśli która je poczęła
wszystko staje się szybciej dosłowniej i zanim

istnieje i jest

bez ochrony przypisów i powoływania się na kogokolwiek
nie potrzebuje luster do przeglądania słuszności rozstrzygania intencji modlitw

nie ma trudnych i łatwych rzeczy
jest bytem zawieszonym w zdjęciu dnia który się nie wydarzył

Przebudzenie

kiedy opadły deszcze z powiek
ujrzałam świat
takim jakim był

pytanie zbyt trudne
na dzisiaj
na teraz

kiedy wycieram skórę o pościel
przebudzona
dotykaniem siebie

co takiego jest w krajobrazie
malowanym na rogówce oka
żeby ją chronić i utrzymać w stanie młodości

zakrywany filtrami świat rzeczywisty
staje się
organem konserwowanym
w konkursie na najdłuższe trwanie
w stanie niezmienionym

na starym słoiku
trzepocze jeszcze ślad starej etykiety

nie krajobrazy
a słowa z ciemności
pamiętam

Słowa

białe kartki zbieram
na tworzenie słowa
kołyski dla uczuć pragnących narodzin
poczęte zgiełkiem kłębiących atomów blokujących krtan

przepakowuję kartony nadziei na kiedyś
mam już tyle za sobą

przede mną

– chcę wierzyć że inna
niż zwykle

pustka

III nagroda ex aequo

Joanna Matlachowska-Pala – godło *Anestazja*

Leśniczówka Pranie

W domu poety
pośmiertna maska
rękopisy i pióro
wycinki z gazet książki
ulubione przedmioty skarby
wytarta codzienność

Poeci w swych domach są podobni
tam w Praniu i gdzie indziej
tak samo ich nie ma
oczyszczeni z zachwytów
bólu i dzielności
samotności ci tak niepodzielna

jak cisza

Cisza

Płyniemy
światło walczy z ciemnością
pod powierzchnią rzeki
tańczą cienie szerokich liści
umykających ryb

Światło dotyka dna
w zamkniętych skorupach małż
wciąż cisza
niemy świat trwa
przepływa powoli

Zanurzam
by dosięgnąć w dłoni zostaje garść
piasku
uciekająca woda
zostawia cały mój ciężar
w tyle

jak kłodę drzewa czy kamień

Kim oni są?

W środku miasta
ciężarówka z meblami:
„Strach i synowie sp. z o.o.”
Powiało grozą
Jak mogą wyglądać i kim są
synowie strachu?
Ciemne okulary
ostre zęby i siła.
skradający się krok tuż za tobą

Kiedy wieczór i cichną odgłosy ulicy
słyszać tylko bicie serca
Strach już śpi
a synowie układają pod poduszki
swoją lęk
żeby już przestać śnić

Wyróżnienia

Barbara Bruszyńska

godło *Viola*

Pylki

Ograniczone materia
ważne z nas pyłki utkane z nicości.
Obdarzeni wolną wolą
między działaniem a zaniechaniem
funkcja fikcji cel przybliża to oddala
wykrzywiamy szczęście
miotani marzeniami.
Przenikając światy równoległe
próbujemy zmieniać siebie.

Eugeniusz J. Kucharz

godło *Stary niedźwiedź*

Dolce far niente

Ciepłe słońce wślizguje się na palcach
przez przymknięte drzwi balkonu,
Chyba już nie śpię.
Dzisiaj, nie boję się wyzywającego
głosu budzika.
Nade mną
puste niebo sufitu.
I nawet kalendarz
monotonnie nie szepce,
że tyle jest do zrobienia.
Całym sobą oddycham rytmicznie
z ukrytą nadzieją,
że nie odwoła mnie jeszcze
Pan Zawał lub Pan Udar.

Walter Pyka

godło *Walter*

W podróży

Przywiązany do własnej walizki,
z ważniejszym od siebie biletem,
powierzam swoją przyszłość
nieznanemu maszyniście.

Z przypadkową kobietą
wymieniam poglądy o Życiu i Śmierci,
nie uciekając od słabych punktów.

Zauroczony jej innym sposobem
zawijania sznurówek
nie zauważyłem,
że ona wysiadając
zostawiła mi cały swój bagaż.

Dopiero ze zwierzeń torby
dowiedziałem się,
jak bardzo było jej ciężko.

Dopiero rozsuwający się zamek plecaka
ukazał,
jak bardzo chciała się przede mną otworzyć.

Dopiero zostawiona na półce gazeta
pokazała,
że Życie jest kolorowe,
tylko na okładce.

Jan Stanisław Kamyk Kamieński

godło *Spartanin*

Przemięło

Postrzępione dno świadomości
jak przyprószona sepią fotografia
rozdarta na setki kawałków
nie daje się złożyć w całość.

Rozsypane kontury postaci,
twarze bez imion,
niekiedy przezwisko, uśmiech,
gest zatrzymany w kadrze.

Młyn czasu zmielił pamięć
w pył zapomnienia
– przysypał okruchy życia.

Katarzyna Szewczyk

godło *Hydraulik2*

Zdjęcie

Mam zdjęcie na którym
w prześwitach leśnej ciszy
nawlekam poziomki
na długie trawiaste nici

W zamkniętej kadrem chwili
wśród zielonej młodości traw
trwam zupełnie nieświadoma
jak zmysłami objąć czas

Teraz wiem –
on pachnie suszonym
kwiatem
gdy otwieram starą szafę
i pozostawia wspomnień
srebra zaśnieźdzałe
Czasami marzę
że moje dzieciństwo utknęło
w fazie plateau
gdzieś na leśnej polanie

Andrzej Miś

godło *Conrad1*

Memento

Czas przychodzi.
Czasem odchodzi
ktoś, kto był.
Nie każdy był
kto przyszedł
Nie każdy przyjdzie
kto nie był.

pamięci prof. Religi

Nadejdzie taka cisza
cisza gasnących świateł.
Pozostanie tylko mrok
i blask gwiazd
na ciemnym niebie.

Sławomir Szewczyk

godło *Ego*

Błąd (Do Boga)

za pomocą świtu
przemocą rozerwałeś mi powieki
pragniesz zobaczyć moją duszę
obejrzyć ją dokładnie
każdy przeżyty przeze mnie dzień
każdą chwilę jasną i ciemną

lecz popełniłeś błąd
– zbyt duże nasłonecznienie
mrużę oczy
nie mogę dostrzec nieba
mrużę oczy
mimowolnie ukrywam się przed Tobą tak
jak Ty ukrywasz się przede mną

Emilia Kwiatkowska

godło *Flame*

Dzwony

Dzwony biją w niewłaściwym czasie,
wskazując moment nieistniejący,
który mógłby być istotny,
gdyby pojawił się jakiś ktoś.

Ten ktoś nie pojawia się wcale,
a wcale dzwony nie przestają,
łoić bezlitośnie, bić się i bić,
w niedzielę, za dwanaście dziewiąta.

Zbigniew Kostrzewa

godło *Cymes*

wyróżnienie za limeryki

Limeryki

Stulatce z miasta Skierniewice
zapalono na torcie tylko jedną świcę
zamiast stu, że niby oszczędności
i zaraz popłoch wśród gości
dlaczego nie gromnice...

Znany gospodarz Jan Kryusza
ze wsi Niespusza
obsiał swoją niwę całą
gryką, żeby było biało
choć nie czytał *Pana Tadeusza*.

Liliana Machoń

godło *Jerzyk*

wyróżnienie za haiku

Cisza południa –
samotny dzieciół stuka
w leśnej gęstwinie

Jesienny poranek –
mgła ukrywa na łące
spłoszone sarny

Wieczorne słońce –
chłopiec zagania krowy
zapada zmrok

PROZA

I nagroda

Agnieszka Kania – godło *Lunatyk*

K l e j n o t

Włamali się w nocy. Psy łańcuchowe spały, żaden kundel nie podskoczył do płotu, ani jeden burek nie warknął. Żeby któryś choć wyszczerzył kły – nic. Cała podwórzowa ferajna pchlarzy zeszała na psy. Bogumiła K. słyszała rumor, jakby dźwięk tłuczonego szkła.

– Sąsiad zasada się na koty, bo mu skubią wędzonkę – pomyślała.

Gertruda Z. widziała migające światła.

– Wielebny urządza dyskotekę – burknęła i położyła się spać.

Złodzieje tymczasem rozpruli kasę pancerną, rozbili podwójne dno i przeszukali ukryte szuflady. W gminie szeptano, że proboszcz przechowuje w sejfie skarb. I to sprzed wojny. Liczyli na diamenty, perły i pierścionki z topazami. I marzyła im się tiara wysadzana różowymi rubinami, ulubiony klejnot księżnej na zamku w Carlsruhe (dzisiejszym Pokoju).

Przeplatka

Matylda Wirtemberska była krucha i wiotka, przypominała lalkę z chińskiej porcelany. Wymyślała wiersze, układała ikebany, a włosy spinała w ciemny kok, tak aby wymykały się z niego spirale. Pamiętała imiona ptaków, wiedziała, jak pachnie rosa, lubczyk i piołun. Na ławeczce pod sosną wejmutką recytowała Schillera, zbierała do podółka kasztany i leczyła platany, gdy ich pnie pokryły się liszajem. Projektowała też japońską ptaszarnię.

Na gościniec podjeżdżały powozy ze skrzyniami ciężkimi od książek. Z Wiednia, Berlina i Paryża przychodziły do Carlsruhe tomy o szogunach i maskach kabuki, historie o lisach, co budzą dusze ze snu, i o ceremoniach Dalekiego Wschodu. Pewnego dnia dostała prezent – purpurowe kimono wyszywane w smoki, wachlarze i kwiaty lotosu. Odtąd, podobna do motyla, snuła się po urojonych ścieżkach parku, przemyciała pajęczynami alejek i drepząc po cienkich kładkach, zaglądała do świątyni Apollona. Rotundę wzniesiono między stawami, na pagórku otoczonym tatarakami. Parzyła tam herbatę i urządzała przyjęcia dla łabędzi i posagu.

Jej mąż, wychowany na dworze cara Pawła I w Petersburgu, lubił co prawda sztuki piękne (w Wigilię stroił nawet kontrabas), ale bardziej ciągnęło go do igraszek carskiej arystokracji. Celował do dzików i jeleni albo bawił się w tygrysa po ciemku: „jeden uczestnik strzelał z rewolweru, inny z dzwoneczkiem czał się jak tygrys uzbrojony w zatruty sztylet” – jak sto lat później opisał podobne figle Bolesław Miciński. Do pałacu wracał księżę nad ranem, upojony świeżym powietrzem i winem, zakradał się do sypialni. Poruszał się jak wężące zwierzę, ostrożnie stapał po schodach, omijając skrzypiące deski, a ona kulila się pod pierzyną drobna jak przepłotka – Melitaea phoebe.

Straszydło

Spotkali się na balu. Eugeniusz dobiegał do trzydziestki; odkąd w styczniu 1813 roku rozbił oddziały Napoleona pod Kulmem, matki markiz i hrabianek przyglądały mu się ciekawie. Nie miałyby nic przeciwko takiemu zięciowi. Panny zaś omijały go wzrokiem, bo nawet w mundurze generała carskiej armii konnej wyglądał pokracznie. Szeptaly między sobą: brzydał, straszydło. Tamtej nocy muślinowa suknia Matyldy zaczęła jego sprzączkę.

– Jestem zgubiony – wyjąkał.

– Pan wybacz debiutance, zaraz się wypłaczę – powiedziała figlarnie.

– Już się pani nie wywinie.

– Zobaczymy.

Wymknęła się tylko na chwilę. Ledwie skończyła szesnaście lat, znów wystąpiła w bieli, tym razem w kościele. Podczas ślubowania jej diadem z różowymi rubinami osunął się na podłogę.

– To zły znak – wieszczyły siostry ponuro.

Nie były one powabne, żadne z nich nimfy, rusalki czy gracje (za duże brody, piegi i zmarszczki). Odsłaniały przerwy w uśmiechu, nie lubiły pudrów ani zalotów. O cienkich kibiciach raczej nie marzyły ani o wyznaniach pod lipą. To Matylda była księżniczką.

Gra w bilard

Kareta zaprzężona w oldenburgi wyruszyła o świcie. Arolsen żegnało nowożeńców słotą i kłębowiskiem rozczapierzonych chmur. Słońce dobijało się do nich, łaskotało obłoki, lecz one nie są płochliwe, rozsiały się jak mlecz, zaperzyły niebo i nie wpuściły ani jednego promienia na ulice księstwa Waldeck-Pyrmont. Koła grzęzły w rozkisłym śniegu, konie się zapierały, stangret musiał je więc popędzać batem. Jechali na wschód, Matylda ukryła twarz w kołnierzu peleryny podbitej futrem i słuchała opowieści Eugeniusza.

Mówił o przodkach, o Karolu Krystianie Erdmannie, który w nieprzebytych lasach kazał wykarczować osiem krzyżujących się promienieście alei. W gąszczu buków, wybujanych klonów i wściekłych jeżyn, wśród stawów pełnych ropuch i strumieni ze spiętrzoną wodą wyciął gwiazdę chaosu. W nadmiar przyrody wpisał talizman używany przez magów, w dziczy umieścił siłę przenikającą kosmos, masońską różę wiatrów.

– A więc i tam dotarli różokrzyżowcy – zadumała się.

Znała ich filozofię, przedziwny aliaż hermetyzmu, filantropii i błagi. Nie raz słyszała o spotkaniach weimarskiej loży „Pod Trzema Różami”. Członkowie stowarzyszenia grali z jej ojcem w bilard i celując kijami w kule, dyskutowali o wiedzy tajemnej. Nie ściszała głosu na jej widok, była przecież tylko panną na wydaniu.

Przymknęła oczy, żeby ukryć łzy. Dokąd ją zabiera? W jakiej puszczy przyjdzie jej żyć? Dotąd bawiła się w chowanego na dziedzińcach „Wersalu Hesji” (jak nazywano pałac książąt Waldeck-Pyrmont), teraz schowa się w borze.

– Znajdziesz tam amfiteatr, karuzelę i huśtawki – wymamrotał Eugeniusz, jakby czytał w jej myślach. A za chwilę rzucił stangretowi: Stój! Dosiadł konia, spiął go ostrogami i ruszył galopem przed orszak.

– Tęskni za głuszą, polowaniami i gildią strzelecką – wytłumaczył ochmistrz, który właśnie zrównał się z powozem.

– Ocali mnie? – spytała.

Mężczyzna zmarszczył brwi, szukając odpowiedzi.

Geburtstag

Księżę kochał ją miłością bezwzględną, lecz niestałą (odwiedzał też rezolutną pannę Ferdynandę von Kulisch). Kiedy do pałacu w Karlsruhe przyjechały siostry, Matylda leżała już na katafalku. Umarła 13 kwietnia 1825 roku, w dniu swoich dwudziestych czwartych urodzin.

– Trudny połów – tłumaczyły damy dworu, ale w folwarkach plotkowano, że poznała smak cykuty.

– W geburtstag odchodzą samobójcy – krakały baby wiedzące.

– Babom to się od razu marzy śmierć z miłości – psioczyli ogrodnicy.

– Wątła była – pochlipywał chłopiec stajenny.

– Nie wątła, tylko nadwątlona, zamęczył ją ten paskudnik – wyklócała się guwernantka (natychmiast ją odesłano, a dziećmi zajęła się córka Fryderyka Schillera).

Księżne podwijały Matyldzie szczęki, obciążały talarami powieki i zapłaciły artyście, aby zdjął maskę pośmiertną.

– Niedawno pozowała mi żywa – wycedził Karol Rothe.

– Jaka była?

– Świetlista.

Poprosiły też Eugeniusza o diadem z różowymi rubinami. Od pokoleń należał do ich rodu, może któraś z nich pójdzie jeszcze za mąż?

– Tiary nie ma – oburzył się wdowiec. – Pewnie nieboszczka zakopała ją w parku, utopiła w stawie albo położyła księżdu na tacę – mrucał.

Przeszukał szafy w dworku porośniętym bluszczem (księżna częściej bywała w tym skromnym domu niż w pałacowych komnatach), przeorał świątynię Apollona, zaglądał do dziur, grzebał przy fundamentach, kazał nawet przenieść rzeźbę pięknego boga (może miała jakiegoś współnika? – zachodził w głowę). Ale klejnotu nie znalazł. Zniknął, rozpułnął się, przepadł. Co było robić, pod sklepieniem rotundy umieścił podobiznę Matyldy i ożenił się z dziedziczką fortuny – Heleną von Hohenlohe-Langenburg. A Ferdynanda? Urodziła syna. Chłopak uczył się historii, studiował geometrię i topografię, wyruszył na Daleki Wschód i opisał jedwabny szlak. Zastąpił jako wybitny geograf i poszukiwacz skarbów.

Na takim zagwiździu

W sejfie proboszcza nie było ani jednego diamentu. Złodzieje natknęli się tylko na rysunki i jakieś stare projekty. – To ma być ta fortuna! – zachnął się szef bandy. Porzucili znalezisko i uciekli.

Pożółkłe kartki skrywają pomysły sprzed niemal stu lat. Są tam rzuty i przekroje, schematy nawy głównej i chóru, jakieś kolumny i cokoły, wzory drzwi i okien, finezyjne rysunki klamek i plafonów przypominających plastry miodu. Ileż tam zdobień i detali, łuków i podcieni; cała mapa świątyni, prawie pozbawiona kolorów. Gdzieniedzie tylko prześwitują wypłowiałe plamy czerwieni – zapowiedź oryginalnego wnętrza.

Szkice przywiózł chyba sam projektant. Może podróżował pociągiem do Oppeln, po drodze przysłuchiwał się dziwnemu językowi, jakim posługiwali się podróżni? Słowa polskie mieszały się tam z niemieckimi. Mężczyzna wyteżał słuch, chciał uchwycić wątek, lecz wymykał mu się sens, niezmiennie gubił początek lub koniec zdania.

– Muszę złapać trochę śląskiego – postanowił.

Na dworcu czekał na niego wolant zaprzężony w oldenburgi, skarogniade. Powożący uklonił się, podał mu futro – ciężkie, z kapturem – i okrył go baranią. Długa to była droga, ze trzy mile po dudniących szlakach i wyboistych drożynach. Koła zapadały się w bajorach, grzęzły w kałużach, chygotały się w rowach. A kopyta wyrzucały w górę grudy błota i gliniastej ziemi. Pomykali polami obramowanymi drzewami, gdzie kostropate sosny ocierały się o gładką korę jodeł. Mijali stawy, nakrapiane wysepkami jeziora i naraz wpadli do lasu. Zapachniało dziką zwierzyną.

- Już niedaleko – zawołał kuczer, osłaniając się przed chlaszczącymi po twarzy baziarnymi.
- Na takim zagwiżdżu stanie moja budowla? – przestraszył się architekt.
- Powózający spochmurniał, ochrypl, słowa uwięzły mu w gardle, widać było, że z trudem łączy sylaby.
- Ten zakątek upodobał sobie król Franciszek Wielki, bywali tu panowie Goethe i Weber – wydukał.
- Pasażer zmieszał się, zarumienił i wypuścił z rąk teczkę z rysunkami. Zaczął przeproszać, chciał się wytłumaczyć, gdy usłyszał cichy i dobitny głos furmana.

Dyplomacja i armaty

W grudniu 1740 roku wojska pod wodzą króla Fryderyka II Hohenzollerna wkroczyły na Śląsk, zwycięska bitwa pod Małujowicami w kwietniu następnego roku przesądziła o przyłączeniu tej krainy do Prus. Krainy niekończących się lasów, leżących odłogiem pól i porośniętych perzem zagonów, gdzie chude krowy domagały się kiszonki, konie owsa, a buraki okopów. Chłopi w zgrzebnych płótnach siedzieli na przewróconych do góry dnem korytach, a baby darły pierze, ubijały masło i łąjały dzieci.

Jak nakłonić Brandenburczyków do przeprowadzki na te nieoswojone ziemie? – zastanawiał się monarcha. I wysłał na wschód poszukiwaczy bogactw naturalnych, potem z niecierpliwością czekał w Berlinie wieści. Kurierzy przybywali do zamku prawie codziennie i donosili o coraz to nowych odkryciach. W 1753 roku Johann Rehdez – nadleśniczy z księstwa opolskiego – rozpisywał się o złożach rudy żelaza odnalezionych nad rzeką Segwitz.

– Natychmiast postawić tam huty, świeżarki i odlewnie – zarządził władca. – Potrzebuję kul, granatów, pocisków i moździerzy. Dyplomacja bez armat jest jak muzyka bez instrumentów.

Szerokim gestem rozdawał ziemie kowalom i hutnikom, gwoździarzom i nożownikom, bednarzom i cieślom. Zachęcał do wyrębu lasów, do budowania krytych strzechą domów, wznoszenia obór i stodół; przez sześć lat fachowcy pracujący w śląskich fabrykach nie musieli oddawać ani talara do królewskiego skarbcza ani żywić pod swoim dachem wojsk maszerujących na front, ani też opiekować się wojennymi rozbitkami. Przede wszystkim byli wolni, sami stanowili o swoim losie.

Już w 1755 roku w Kluczborskiej Hucie rozpalono wysoki piec i wytopiono surówkę. W pobliskiej osadzie Friedrichsthal, tam gdzie stanie budowla, zamieszkali czescy husyci, Saksończycy, przesiedleńcy z austriackiego Śląska i ciekawi nowości z pobliskich Budkowic. Każdej rodzinie przydzielono dom z ogrodem, łąką i trzema morgami roli. Mierniczy wyznaczył tam plac na cmentarz, kaplicę i boisko.

Gdy wybuchła wojna, w pobliskich lasach gwizdały bomby i huczały granaty. Pewnego dnia gruchnęło w samym środku huty, spłonęły odlewnie i magazyny, kobiety wyciągały spod rumowisk swoich mężów i braci, a potem gołymi rękami grzebały ich w ziemi. Z Afryki tymczasem przygnała gorączka, wyschły rzeki, przestały się kręcić koła wodne, uciął cajnarski młot, stanęły dmuchawki, szlifierki i polerki, morowe powietrze truło i ludzi, i zwierzęta. Panowały głód i nędza, ale przetrwali. I odbudowali hutę.

Zacinał śnieg. Poruszali się coraz wolniej, czasem tylko stangret świsnął batem, konie szły wtedy długim klusem, aby po chwili wrócić do stępa.

– Zawiozę pana do Carlsruhe. Zamieszka pan w dworku księżnej Matyldy Wirtemberskiej. Mówią, że się otruła – wyjawiał konspiracyjnym szeptem.

Fragment opowiadania pod tytułem *Klejnot*.

II nagroda ex aequo

Renata Paliga – godło *Domicella2016/1*

Wróżba z trzech kart

1. Przeszłość

Wspinała się spiralnymi schodami. Drobiła kroki, podskakiwała. Nie mogła dosięgnąć parapetu. A jednak starała się. *Proście, pukajcie* – więc pukała zawzięcie do swego serca. Szukała odpowiedniego klucza w nadziei na wejście w bajkę o dobru, które zawsze zwycięża, a brzydkie dziewczynki stają się ładnymi, bogaty księżę uwielbia targi staroci i szroty, wybiera te brzydkie, myje, dotyka i okazuje się, że wybranie z najgorszej bramki było strzałem w dziesiątkę. Potem on się cieszy, że okazała się więcej warta niż za nią zapłacił, królowa matka może spać spokojnie i utulać we śnie główki jasnowłosych wnucząt, które jeszcze się nie zdarzyły, ale zdarzyć muszą.

Ale to nie opowieść dla ciebie. Karta nie jest twoja, wypadła przypadkiem.

Wspinała się wewnątrz wieży coraz wyżej i wyżej. Kolejne zaszczyty, dyplomy, cele, kredyty, świętowanie zakończeń i początków. Na szczycie zastała czekające lustro. Nic poza nim. Widok zamalowany czarną farbą, na jego tle tylko oczodoły i jarzące czerwone oczy. Porcelanowa śnieżna biel do zamalowania. Twarz nasączona ołowiem, cera która nie doświadczyła naturalnego światła. Zanim chwyciła za pędzel, dotykała tak, by poczuć pod palcami tętno. Poznawała ciało delikatnymi ruchami okrężnymi coraz silniej, pilingiem do krwi, darciem skóry pasami do owijania cudzego cellulitu.

W mądrości, którą chłonęła z nudów, nie mając niczego lepszego do roboty, zatrzymał się czas. Brak krwawienia z macicy pojawił niespodziewanie i objawił prawdę, że zegary w wieży odmierzają fałszywie, oszukują jej palce, oszukują uszy kukaniem. Jej ciało powoli wysycha. Nie zdąży już rozsiać woni rozsiadając się na ziemi, nazbierać nektaru, ani nikogo nim nakarmić. Nie urodzi kucając. Nawet kamienia. Wtedy

pomyślała, że szła w fałszywą stronę. Że zamiast do góry, do obrazów znad łóżka ze świętą rodziną, gdzie On ma siekiere, Ona jest dobra, a Dzieciątko tłuste i szczęśliwe, gdzie niebo kolorowała na niebiesko niebieskością prosto z kredki wodnej ultramaryny, że trzeba zbiec na dół, póki nogi nie zamieniły się w patyki.

Otworzyła drzwi i zaczerpnęła świeżego powietrza. Zadławiło, chwyciło za gardło, potrzęsało wytrzępując z włosów pajęczyny i czipy pilnujące marzeń. Dzwony zaczęły bić. Dźwięk zaganiał, trwożył, nie śpiewał alleluja, nie sypał kwiatów pod nogi. Wieża okazała się zwykłą skrzynią bez ozdobników i rzeźbień, kluczy wiolinowych i podobnych fanaberii. Zobaczyła szafę z całą realnością stojąc na zewnątrz.

Wróciła do ciemności, którą znała najlepiej i wspinała się po wnętrzu ścian niczym owad przysysając do drewna. Ssała łapczywie z zakamarków zapach lasu uwięziony w słojach, stapiała z szumem szarych zdjęć i modlitwami przydrożnych kapliczek. W nich słyszała obce głosy i trzask palonego drewna, huk buldożerów rozbierających stopy, migawki fleszy zamykające ostatnie skorupy porcelanowego świata.

2. Teraźniejszość

Nie krzycz. To tylko sen.

Nie było tych dziesięciu lat, a może nie było tego co wcześniej. To nie ona chodziła, wyklęta za miłość, pokazywana palcami i nie za jej plecami szeptano, że i tak ją zostawi. Szeptano. Musiało się spełnić od tych szeptów pełnych świętego oburzenia, że rozłożyła nogi przed innym niż to było w zwyczaj. To wszystko nieważne.

Nie krzycz.

To wszystko już było. Może tam gdzieś jeszcze dogorywa wasza miłość w innym wymiarze, może tam jeszcze masz nadzieję i cierpisz, bo przeczuwasz co się wydarzy – ale to nie tutaj. Tutaj istnieje Teraźniejszość.

Tu jesteś już sama. Bezpieczna. Odganiająca wszystko co można odgonić, bo jak zaufać, kiedy ręce które całowałaś, wyrwały ci serce i zabrały wszystko. Każdy skrawek materii z twojej sukni, każdy atom twego ciała, rzuciły na wysypisko tego, co już nieistotne i bez znaczenia. Twoje płody popłynęły, jak kijanki, kanalizacją tak szybko, jak było to możliwe kiedy spałaś.

Więc nie krzycz. To tylko sen.

Dolepisz rzęsy. Jeden do jednego, wymodelujesz włosy, ubierzesz sukienkę, ściśniesz się czym tylko można, by jeszcze oddychać, zniezczulisz bólem, ziołem, czymkolwiek, umalujesz usta, paznokcie, uniesiesz głowę. Pójdziesz. Prosto, dumnie. Dokładnie tak. I przetrwasz te dwie godziny, na które czekałaś dziesięć lat.

Nie krzycz. Nie masz już prawa zatrzymać go krzykiem.

Jeszcze tylko zdjęcie. Ty, wasz piękny syn i on.

Na zbliżeniu zdjęcia zobaczysz, że on też miał łzy w oczach. Może to tylko alergia, nieważne, bez znaczenia. Tłumacz, że łzy. Będzie bardziej poetycko i kliwie, jak lubisz. Po wszystkich uciekł szybko, jakby palił go twój oddech, zbyt bliski, zbyt kochający, bilet do minionego czasu.

Twój oddech. Zatrzymał i cofnął czas. Twój oddech. Nie zapominaj oddychać.

Nie krzycz. To już nie jest twój mężczyzna.

3. Przyszłość

Tyle razy chciałaś to zrobić. Kiedy byłaś małą dziewczynką, przesiadywałaś przed klatką z orłami. Cierpiałaś z nimi, rozmawiałaś z nimi. Zniewolony ptak. Ten widok był dla ciebie największą krzywdą. Lub. Urodziłaś się na wolności szybujesz nad wzgórzami. Szybujesz nad wzgórzami. Szybujesz nad wzgórzami. Lub. Idziesz drogą pełną głów. Nie widać stóp, butów, tylko głowy rozmawiające z satelitą o tym, że widziały tyle śmierci.

A może. Jesteś zatkniętą rzeźbą w kamieniach portali kościołów, dźwiękiem niesionym podmuchem wiatru lub śpiewasz. Jako jedna z zapamiętanych melodii alleluja, mieszkasz w otwartych na wieki kamiennych ustach na szczytach katedr, idealnych na gniazda do złożenie jaj. A może nadal czynisz dobro. Trzymasz w dłoniach czyjeś serce, wkładasz w pustkę ożebrowanego kadłuba, a ono zaczyna bić i daje życie. Pompuje dni i staje się rzeczywistością, która włącza radio co rano w rytuale wstawania. A może już nie jesteś dobra. Wysysasz, trzymając oburącz każde męskie serce, które wpadnie w twoje ręce, wysysasz do ostatniej kropli krwi, a potem żujesz długo suszone pasy tkanki, nie udając nikogo innego niż jesteś.

Dosyć brzydoty i mądrości. Jesteś Afrodytą. Za każdym razem, kiedy wyłaniasz się z oczyszczającej konchy rozsuwanych drzwi prysznica. Jesteś mleczną doliną między jej udami i wiatrem z wydętych policzków ochroniarzy obrazu dmuchających, by osuszyć jej włosy.

Jesteś zaklęta w muralach katedr i malowidłach zapomnianych garaży, w dziewczynkach, kobietach i wizerunkach bogów. Zeskakujesz ze ścian w celu posilenia się człowiekiem, który przechodził tysiące razy obok, a ujrzał siebie na murze po raz pierwszy właśnie dziś. Potem wracasz na wysiedziane miejsce, składając ręce do błogosławienia czasu tu i teraz. Żyjesz gdzie chcesz, w miejscu które wybierzesz. Stopy unosisz nad ziemią, albo tylko trwasz po to by trawić, wydalać i jesteś szczęśliwa z powodu samego istnienia i doświadczania czystego zwierzęcego metabolizmu. Jesteś świętą i ladacznicą. Białą, czarną, żółtą, czerwoną, wielokolorową. Jesteś mężczyzną, kobietą, hermafrodytą, mieszańcem ras. Jesteś piękną i brzydka. Jesteś mała, duża, chuda, gruba, zdrowa, chora, piękna, brzydka.

Zmieniasz się porami roku. Niczego nie musisz. Możesz wszystko. Stajesz się na nowo. Kołem fortuny.

II nagroda *ex aequo*

Jarosław Paśnik – godło *Klimek*

Dziki miód

(fragmenty)

Pamięci S.

Gdybym nie wyjechała, siedziałabym pewnie teraz w kuchni na zydelku. Patrzyłabym, jak kolejne światła przychodzą i odchodzą z pustego domu. Od wielu dni ten sam ceremoniał. Najpierw wczesnym rankiem z ciemności wyłaniają się kontury przedmiotów, przed czwartą wpelza jasnożółte światło, niosące chłód poranka. Potem w pokoju mości się cieplejsze światło żółtoczerwone przyniesione miotłą dozorczy i wymieszane z brukowym pyłem i pojedynczymi akordami przeciągającej się po przebudzeniu ulicy: dzwonekami przejeżdżającego tramwaju, skrzypiącymi drzwiami pośpiesznie otwieranych piekarenek i sklepików. Około południa przestrzeń mieszkania zagarnia przezroczyste, głośnie światło z rozmachem rozrzucające barwne plamy i nonszalancko paradyjące pośród zalanych słońcem ścian. Przed wieczorem dociera ciemnoróżowe, gości najkrócej i przynosi zapach dojrzewających jabłek. Gaśnie o zmierzchu, kiedy niebo się przeciera, szarzeją kolory, a tuż nad ziemią pełnie lepka mgła. Ciemność ogołaca miasteczko z hałasu klaksonów, warkotu silników i pokrzykiwań ludzi. Mimo tej ciszy i wyciągu z szyszynki susła wiele ostatnich nocy spędziłam w kuchni bez zmruczenia oka. Aż do dzisiejszego dnia.

W przedziale obok mnie śpi przemiły młodzieniec. Pomógł mi przy wsiadaniu do pociągu, a potem zarzucił moją torbę na półkę. Dzięki niemu nie spędzisz Jerzyku podróży na podłodze. Siedzisz sobie wygodnie na górze, a ja mam cię na widoku.

– Demencja jest boska – mówiłeś w chwilach, kiedy coś ci się nie udawało.

Pamiętam, jak śmiałeś się, gdy z powodu demencji nie zauważyłeś otwartych drzwi stojącego na poboczu fiata i jak wiozłeś je potem na masce swojego auta przez pół kilometra. Albo jak któregoś ranka po przeszło pół wieku małżeństwa stwierdziłeś, że skoro już tyle lat jesteśmy razem, to wypadaloby zalegalizować nasz związek.

– Witaj w klubie – powiedziałeś z kolei kiedyś, wyciągając z lodówki kryminał szukany przeze mnie od rana.

Kocham swoją demencję, bo pozwala mi nieustannie przemeblowywać życie. Kompletnie przestaje przejmować się drobnostkami, mimo głuchoty słyszę więcej niż w młodości, mimo narastającej ślepoty odkrywam pod powiekami rzeczy niedostrzegalne nigdy wcześniej. Wreszcie nieodwracalnie wyzwałam się z obaw, co myślą o mnie inni. Dlatego nie pytajcie mnie, skąd wzięła się w mojej torbie urna z prochami Jerzyka. Śmieję się na wspomnienie min panów z firmy pogrzebowej, kiedy bardzo nalegałam, aby sprzedali mi dwie identyczne urny.

– Dzisiaj tak szybko zmienia się moda, coraz to wchodzą nowe modele. Kto wie, jakie będą trendy w waszej branży, kiedy umrę. Chcę być pochowana w takiej samej urnie jak mój mąż – przekonywałam, widząc lekkie politowanie na ich twarzach.

Nikt, oprócz Jerzyka, nie dowie się, jak udało mi się jego szczątki przeszmugłować z krematorium i jednocześnie pozostawić obsługę w przekonaniu, że w podstawionej drugiej urnie są prochy mojego męża. Przypilnowałam wcześniej, aby w określonej kolejności wybrać z popiołu i przenieść do urny kosteczki śródstopia, ud, miednicy i czaszki. Jerzyk nie mógł wyruszać w zaświaty do góry nogami.

Nie zapomniałam kochany o naszej obietnicy sprzed lat, a po za tym miałam z tobą jeszcze do pogadania. Zostałeś ze mną nieco dłużej i nielegalnie. Przez ciepłe dni i bezsenne noce.

Odgłos kół mknącego pociągu miesza się z poszumem deszczu. Mijamy następne stacje, a przez uchylone okno wdiera się orzeźwiająca bryza przywiana mocniejszymi podmuchami wiatru znad zbliżającego się morza. Byliśmy z Jerzykiem kolejowymi maniakami. W czasach bez własnego samochodu w każdy wolny dzień wskakiwaliśmy do pociągu, aby prędzej czy później wysiąść na nieznaną stacji. Uwodziły nas surowe, melancholijne dukty leśne, przyciągały stodoły obsypane opadłymi liśćmi miłorzębu, wyglądające jakby były kryte złotem, kusily nas drogi ubite jedynie ludzkimi butami i kopytami zwierząt wijące się pomiędzy zwalistymi modrzewiowymi domami. Chwytałyśmy czas na gorącym uczynku, widywaliśmy miejsca, po których dzisiaj nie ma już śladu.

Wkrótce po ślubie pierwszy raz dotarliśmy do Jelonek i zakochaliśmy się w nich. Rozbiliśmy namiot w pobliżu stacji kolejowej i codziennie rano przypatrywaliśmy się, jak pociągi przejeżdżają ze stałego lądu na wyspę i z wyspy dalej na stały ląd. Ten obraz wpłynął się w nasze DNA i tkwi w nim do dzisiaj jak połyskliwa nić: białe obłoki pary nadjeżdżającego parowozu w błękitnym powietrzu, podróżni machający z otwartych okien i ich odbicie w wodzie. Gapiliśmy się na to setki razy.

– Przywieź mnie tutaj wtedy, gdy mnie nie będzie – szeptałeś mi do ucha, pozostawiając w mojej głowie jakieś owadzie chrobotanie lęku.

Wyjdę z kwatery wystarczająco wcześniej, aby zdążyć przed wszystkimi. Buty zostawię na piasku i z otwartą urną wejdę do morza. Zanurzę ją w zimnych falach. Popłyniesz tam, gdzie będziesz chciał. Będę na ciebie patrzeć tak długo, aż znikniesz. Ten obraz jak rozblysk pamięci zostanie we mnie nawet, kiedy wrócę już do domu. Pierwsze, co wtedy zrobię, to ufarbuję swoje siwe włosy. Nie wiem, co będzie dalej. Chcę ci powiedzieć Jerzyku, że jestem z siebie dumna, że dociągnęłam to do końca, że wytrzymałam jak sprężyny zegarów na kościelnej wieży. Moja demencja pozwala mi widzieć rzeczy takimi, jakie są i nie wstydzić się swoich uczuć. Poczułam ulgę, gdy odszedłeś Jerzyku. Kiedy teraz to mówię i nie muszę tego kryć, jest mi lżej.

– Życzę pani szczęścia – zwraca się do mnie mój współpasażer. Ścisła niespodziewanie moją dłoń, uśmiecha przyjaźnie i wysiada z pociągu. Jestem taka nieporadna, że zapominam podziękować mu za to, że chwilę wcześniej zdążył ściągnąć z półki moją torbę i postawić obok mnie. Będzie mi lżej wysiadać na następnej stacji. Pociąg powoli rusza na mały most prowadzący na wyspę. Deszcz staje się bardziej intensywny, objia się o świeżo odmalowane ściany budki droźnika. Mężczyzna w kolejowym mundurze stoi obok opuszczonego szlabanu. Trzyma mokrą, żółtą chorągiewkę i macha do pociągu podniesioną czapką. Ogromne krople deszczu ściekają mu po twarzy i wpadają za kołnierz. Przez chwilę wydaje mi się, że spotykamy się wzrokiem.

III nagroda

Jerzy Andrzejczak – *godło Dukla*

K o b i e t a

Józef R. oceniał kobiety według wyglądu stóp. Tylko z kobietą o ładnych stopach nawiązać mógł kontakt, z którego później coś wynikało lub nie – zależnie od przymiotów ujawnianych przy bliższym poznaniu. Stopy były kryterium doboru, pierwszym i najważniejszym elementem swoistego algorytmu Józefa R. w postępowaniu z kobietami. Najpierw przyglądał się stopom, potem przenosił wzrok na całą postać, co trochę wyglądało na sposób pokonywania nieśmiałości. W istocie była to jednak forma lustrowania obiektu. Gdyby go ktoś zapytał, gdyby go tylko ktoś zapytał... stopy muszą być kształtne, nie za długie, bo wtedy wróżą nadmierną szczupłość reszty ciała, jakąś chłopięcość, a co to, to nie... nie za tęgie – wiadomo, co wtedy wróżą, niezdeformowane przez buty na wysokim obcasie – kobiety teraz w ogóle nie szanują stóp, a takie szpile są dobre pod latarnię, a nie dla szanujących się! – no i zadbane; ładny lakier, tylko nie za czerwony, też dużo daje... Tak, stopy są bardzo ważne. Ręce też są ważne, ale nie tak...

Józef R. zakończył właśnie swój dwutygodniowy pobyt w miasteczku na północnym skraju Górnego Śląska. Nic go tu już, zresztą, nie trzymało. Poznał całą okolicę, wszystkie Miejsca, lokalne Nazwy, Skróty i Przejścia. I zrobił, co musiał. Nie wszystkim się to podobało, właściwie nikomu się to nie podobało. Zaczęła go też męczyć – atmosfera jakiejś niepewności i podejrzeń. Ludzie, a zwłaszcza kobiety, rozglądali się z obawą. Wydawało się, że mijając Józefa R. przypatrują się mu dłużej niż innym. Jednak był tu obcy, na delegacji, na kontroli z jakiegoś urzędu i to od razu z województwa.

Rozpoczęły się wakacje; ostatnie dni czerwca były piękne. R. nareszcie mógł udać się na urlop. Postanowił wyjechać nad morze. Wybrał niewielką, dość spokojną miejscowość zabudowaną głównie czynnymi tylko w sezonie pensjonatami i dawnymi domkami rybackimi, w których urządzono kwatery dla mniej zamożnych gości.

Pierwsze dni pobytu poświęcił na poznanie okolicy. Jak poprzednio na Śląsku, tak i tutaj badał opłotki, wąskie przejścia między posesjami, skróty wiodące przez zarośnięte ogrody. Na dokładnej mapie i w Internecie odkrywał znane tylko mieszkańcom nazwy (szczególnie cenne okazały się i tam, i tu, fora skupiające potomków ludzi wysiedlonych). Po paru dniach znał również wszystkie zejścia nad morze, w tym te dzikie i prowadzące na nieco oddaloną, pustawą jeszcze plażę naturystów.

Miejscowość powoli się zaludniała. Jej daleki od modnego kurortu charakter przyciągał przede wszystkim potrzebujących spokoju. Przy głównej uliczce niemal jednocześnie otworzyły się przenośna wędzarnia ryb, kiosk z lodami, kram z pamiątkami i mała kawiarnia. Sklep poszerzył asortyment i wystawił na zewnątrz część towaru przeznaczoną dla plażowiczów i dzieci. I to już było całe centrum handlowe osady.

Józef R. spędzał czas w ruchu. Nie potrafił godzinami się opalać zmieniając tylko pozycję na ręczniku. Nie wyskakiwał zza parawanu do wody, by szybko wracać i w pośpiechu otwierać koszyk z jedzeniem i napojami. Uprawiał kilometrowe marszobiegi po twardym jak beton piasku. Zupełnie puste odcinki plaży i fragmenty zajmowane przez naturystów pokonywał nago niczym Hermes, choć nie tak jak on chłopięcy. A Hermesa przypominał jedynie dlatego, że także był obuty, co prawda nie w uskrzydłone sandały. Miał na nogach płócienną obuwie na gumowej podeszwie zalecane podróżnym udającym się nad morza bardziej południowe, gdzie plaże są kamieniste, a podczas kąpieli można natknąć się na jeżowca i boleśnie pokłuć. Takie praktyczne pantofle szybko też wysychają. Józefa R. nad Bałtykiem chroniły przed kontaktem z drobnymi kamykami, fragmentami muszelek i ostrym piaskiem. Ale nie tylko.

Józef R. wstydził się pokazywać swoje stopy. Zawsze nosił zakryte buty i nawet w domu, mieszkając samotnie, ubierał klapki obejmujące cały przód stopy. Nie chodził na basen ani do sauny. Stopy obnażał tylko podczas sporadycznych wizyt u lekarza i do snu. Nie potrafił pozbyć się tego dziwnego wstydu. Stopy Józefa R. stały się powoli najintymniejszą częścią jego ciała.

Podczas jednego z codziennych marszobiegów R. wyprzedził idącą granicą zasięgu fal Kobieta. Bawiła się spienioną wodą, klucząc i balansując po nieregularnej, zmiennej linii przyboju, rzecz jasna b o s o. Stopy, na ile mógł je dostrzec, kiedy brodziła w wodzie, miała ładne. Walczyła niepotrzebnie (tak uznał od razu) z wiatrem, który to nadymał, to unosił jej lekką sukienkę. Zdjęła ją w końcu dając za wygraną i schowała do torby. Dalej szła w jednoczęściowym, lecz skąpym opalaczu podkreślającym niezwykle zgrabną, dojrzałą sylwetkę. R. ocenił wiek Kobiety na jakieś trzydzieści lat. Spodobała mu się.

Czyżby szła jeszcze bardziej się rozebrać?... Nie, skrzyła w kierunku wydm... Kobieta rozejrzała się i zaczęła urządzać sobie miejsce do opalania. Józef R. podbiegł jeszcze około dwustu metrów i musiał oswobodzić się ze spodenek.

Następne spotkanie z Kobieta starał się przyspieszyć. Na niewielkim terenie i wśród niezbyt licznej grupy wczasowiczów nie było to trudne. Prawdziwy czy symulowany zbieg okoliczności był wielce prawdopodobny. R. nie musiał śledzić dróg, po których się poruszała, by niby przypadkiem na nią się natknąć. O ile tylko, oczywiście, nie wyjechała... *A może nie miała więcej czasu, może się jej nie spodobało...* – Józefem R. poruszył nagle pewien niepokój.

Nie wyjechała, a przypadek nadarzył się któregoś popołudnia w kawiarni. Znalazłoby się w niej i inne wolne miejsce, ale R. zapytał o nie przy stoliku zajmowanym przez Kobieta.

– Przepraszam, jeśli pani chciała być sama, ale tam z kolei przeszkadzałbym w rozmowie – usprawiedliwił się. Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

– Nie, nie, bardzo proszę – zrobiła więcej miejsca na małym blacie.

– Swoją drogą, dobrze, że są jeszcze miejsca z takimi smakołykami – jadł szarlotkę z lodami i popijał kawą; zadbał, aby jednak zwrócić na niego uwagę.

Piła swoją kawę z dodaną do niej miniaturą bezą. Milczała chwilę chyba z pewnym wahaniem.

– I wyraźnie panu służą, ma pan niezłą kondycję – zdecydowała nagle o podtrzymaniu rozmowy, co było i dla niej zaskoczeniem. Uśmiechnęła się lekko, a R. odniósł wrażenie, jakby dawała do zrozumienia, że widziała go nie tylko w czasie biegu, ale i jak zdejmował kąpielówki. *Prowokuje? Ma dość samotności? Chce kogoś ukarać?*

– Na kocu mogę leżeć najwyżej kwadrans – dzięki obojętnemu tonowi udał, że niczego się nie domyśla, ale też się uśmiechnął. *No to posiedliśmy wspólną tajemnicę...*

Kobieta, z którą Józef R. siedział w kawiarni miała p i ę k n e stopy.

W ciągu następnych dni widywali się nad morzem z racji urlopowych zajęć. Kobieta zdążyła w kierunku miejsca na plaży, dość znacznie odległego od ostatniego zejścia i rozkładała ręcznik za wyniesionym przez sztorm pnem drzewa, on biegnął lub szedł szybko pasem mokrego piachu. Towarzyszył jej do momentu,

kiedy skręcała i zrywał się do biegu. Żadnych podtekstów, żadnego adorowania podczas rozmowy, jakby czekał na jej następny ruch obawiając się sondować zamiary. Może jednak było w tym trochę nieśmiałości...

A stopy migały mu przed oczami raz w rozświetlonym powietrzu, raz w przezroczystej wodzie; raz ich kontur rozmywał się zalewany falą, raz wystrzał po chłapięciu rozbryzgiem piany. *Jak muszą pachnieć, jak smakować – owoce morza...*

Późnym rankiem pierwszego dnia długiego weekendu R. wybrał się nad morze tradycyjnym szlakiem. Na plaży przybywało coraz więcej ludzi, nie brakowało biegaczy i rowerzystów. Dał się więc zaskoczyć widokiem znajomej sylwetki. Kobieta szła brzegiem zupełnie swobodna, bo jej torbę niósł idący obok przystojny mężczyzna. Trzymała jego rękę wyraźnie uradowana towarzystwem, usiłowała dla żartu wciągnąć go do wody.

R. zatrzymał się tak nagle, że musiał uskoczyć przed jadącym za nim rowerem. Zawrócił i pobiegł aż do falochronu nad basenem przystani rybackiej. Usiadł na chwilę, po czym najbliższą drogą wrócił do swojego pokoju. Prawie go nie opuszczał w ciągu dwu kolejnych dni. Tylko raz przeszedł o zmierzchu przez osadę. Kobieta ze swym towarzyszem siedziała w ogródku kawiarni. Opierała palce bosych stóp na stopach mężczyzny. Ich kolana stykały się ze sobą. Pod jego krzesłem czekała na powrotną podróż sportowa torba.

Józef R. wycofał się z mdłościami pomieszanymi z uczuciem pewnej ulgi... Nie, wróci do tej kawiarni, pochyli się nad stolikiem i powie... i powie: *polecam szarlotkę z lodami*. No, i będzie się działo...

Rozległy skłon nadmorskiej wydmy w okolicy wyrzuconego przez morze pnia wzmocniono karłowatą wierzbą. Z perspektywy brzegu wyglądał jak kawał pikowanej koldry. Wierzbowy ścieg tworzył poletka piachu w kształcie rombów.

R. podbiegł do kilkuosobowego półkola. Na tle szumu morza usłyszał szmerek rozmów. Za gęstym szpalerem wierzby dostrzegł dwie sine kobiece stopy. Z niebieskawą barwą kontrastowała czerwona wstążka czy może tasiemka zawiązana na kokardkę na wysokości kostek. Ręcznik obok pnia był zmierzwiony, zawartość plażowej torby rozsypana. Do miejsca położenia ciała wiodła wyorana w piasku dwutorowa bruzda.

–To już nie ma nigdzie spokojnego miejsca?! W górach też niedawno jakiś psychopata dziewczynę zamordował! – R. usłyszał dochodzący z boku oburzony głos. Wokół zwłok krzątała się ekipa kryminalistyczna. Umundurowany policjant pilnował, by gapie nie zbliżali się zανάdto i nie ządeptywali śladów. W miarę wyraźny był tylko jeden i prowadził ścieżką przegrodzoną tablicą – *Przejsćie wzbronione*.

Józef R. wycofał się w milczącym towarzystwie kilku innych osób i tym razem powoli oddalił w kierunku majaczącego masztu kąpieliska przy centralnym zejściu.

Pogoda zaczęła się zmieniać. Od strony morza nądciągęły chmury i chłód. Zimna mgła gwałtownie przeszła w mżawkę.

R. znowu poczuł się nieswojo i niepewnie. Korzystając z niepogody jako wymówki, zapłacił za pobyt, spakował rzeczy i wyjechał. Tych parę ostatnich dni urlopu spędzi w domu. Zadzwońi do pracy, pewno już mu zaplanowali kolejną delegację. Trzeba się będzie wstępnie zorientować, co to za Miejsce.

Wyróżnienie

Ewa Miszczak-Matuszewska – godło *Emma*

Aktorzy

Pewien aktor pokolenia powiedzmy średniego, o określonej porze dnia wychodzi na spacer z psem, pięknym, dobrze utrzymanym wyżłem. Pies, jak pies. Biega dookoła bloku, niekiedy zatrzymuje się podnosząc nogę wedle odwiecznego psiego zwyczaju.

Jego pan, wzrostu słusznego, lekko przygarbiony, szczupły, ubrany z niedbałą elegancją, którego wyrazista twarz jest uwielbiana przez widzów, spaceruje wolno obserwując poczynania podopiecznego.

Czasem rozmawia z właścicielami innych czworonogów biegających po trawniku przypominającym do złudzenia śmietnik. Czego to bowiem ludzie nie wyrzucają z balkonów... Niekiedy trafia się głowa ryby lub kości pocziwego wieprzka starannie obrane z mięsa. Wprost raj dla psiaków. Pies aktora jest doskonale ułożony. Nigdy nie widziałam, by jadł jakieś podejrzone resztki.

Od czasu do czasu zamieniam z jego panem kilka słów, gdyż jest doskonałym rozmówcą i ma miły głos, który mnie uspokaja. Pewnego razu zauważyłam, że podczas przechadzki pali papierosa.

– Byłam przekonana, że pan nie pali – powiedziałam z wyrzutem.

– Usiłuję się odzwyczaić – odparł ciepłym głosem.

Przed dwoma laty utkwiałam w windzie, która zatrzymała się między piętrami. Było duszno, na korytarzach cisza, nikogo wokół. Naciskając kolejne przyciski ALARM i STOP miałam coraz mniej nadziei na jakąkolwiek pomoc.

Niespodziewanie z opresji wybawił mnie On. Pociśnawszy odpowiedni przycisk sprowadził windę na piętro. Podziękowałam wylewnie za oswobodzenie i czmychnęłam pośpiesznie do swego mieszkania w innej części bloku. Poczułam się wielką dłużniczką aktora.

Przypomniało mi się wtedy zdarzenie sprzed trzech lat. Wtedy to właśnie, podczas przejściowych trudności z zaopatrzeniem w nabiał, w sklepie spożywczym naszego osiedla zabrałam dosłownie sprzed nosa aktora dwie mizerne kostki chudego twarogu. Sama nie wiedziałam, jak do tego doszło, było to bowiem całkowicie sprzeczne z moją naturą. Pewnie zagrała we mnie żyłka hazardzisty i koniecznie chciałam być lepsza w tym wyścigu.

Wspomnienie tamtego zdarzenia pali mnie wstydem do dziś.

Długo nie mogłam zapomnieć zawiedzionej miny aktora, któremu jakaś wstrętna baba – tak pewnie pomyślał wtedy o mnie zabrała ów ser. Ilekroć oglądałam go potem na scenie, tyle razy widziałam jego zawiedzioną twarz ze sklepu.

Przypomina mi się inny aktor, bardzo znany z powodu swej niepowtarzalnej urody. Poznałam go na zjeździe absolwentów szkół w Łowiczu, dokąd towarzyszyłam swej mamie przed laty. Byłam wtedy dwudziestoletnią studentką i teatromanką,

Wyluskałam wzrokiem jego twarz spośród wielu innych, podczas oficjalnej części zjazdu. Tak się zapatrzyłam, że nie słyszałam nawet przemówienia dyrektora wspominającego poległych podczas wojny absolwentów! Na bankiecie, który odbywał się w restauracji długo zastanawiałam się, jak podejść do aktora, by podziękować za wspaniałe role.

Mama widocznie odczytała to z mej twarzy. Zaprosiła go do naszego stolika. Kiedy stanął obok nas, witając się wylewnie, zaczerwieniłam się, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Znów z pomocą przyszła mama.

Moja córka bardzo chciała cię poznać, jest wielbicielką twojego talentu powiedziała do swojego szkolnego kolegi. Aktor wyciągnął prawicę w powitalnym geście, potem usiadł na jedynym wolnym krześle i powiedział do mnie swym urokliwym, lekko zachrypniętym głosem:

– No to co mała? Wypijemy kielicha?

Tak wypiłam wódkę ze wspaniałym aktorem, którego zachowałam we wspomnieniach młodości.

Jeszcze innego aktora pamiętam z wczesnego dzieciństwa. Miałam sześć lat, kiedy po zakończeniu wojny rodzice zabierali mnie na przyjęcia do kolegi ojca, profesora SGGW Stefana Mrożewskiego. Cudem uniknął on rozstrzelania przez Niemców na Mokotowie, podczas łapanek. Padłszy na ziemię wraz z trupami, udawał zabitego. Kula niemiecka rozorała mu policzek, ale nie zabiła.

Mieszkali państwo profesorostwo przy ulicy Szustra, którą po wojnie nazwano ulicą Jarosława Dąbrowskiego. Z grona dawnych przyjaciół przeżyli nieliczni. Spotykali się w miarę skromnych, powojennych możliwości w ich gościnnym domu.

Właśnie tam bywał częstym gościem aktor Zdzisław Mrożewski, znany już przed wojną, kuzyn profesora.

Siedząc wraz z dorosłymi przy stole obserwowałam go uważnie, wpatrywałam w każdy gest. Nie jadłam, nie piłam, nie mówiłam nic, żeby tylko nie wyproszone mnie do dzieciennego pokoju, w którym grasował synek gospodarzy, wrzeszcząc i popychając inne dzieci.

Aktor w przepływie dobrego humoru głaskał niekiedy dzieci po twarzach i rozmawiał z nami. Byłam z tego niezmiernie dumna.

Potem widywałam go przez wiele lat, na różnych scenach, w rozmaitych rolach. Zawsze przypominał mi okres dzieciństwa.

Po 1889 roku niektórzy znani i mniej znani aktorzy występowali w telewizji z apelem o pomoc dla nowej rzeczywistości.

Któregoś dnia ujrzałam na ekranie starego już aktora z mych dziecinnych lat. Prezentował się doskonale. Dopiero, gdy usłyszałam jego głos: „...jesteśmy wreszcie we własnym domu, nie stój, nie czekaj! Co robić? – Pomóż!”... ten głos w dramatycznym wezwaniu przeraził mnie nie na żarty.

Poczułam, jak wiele lat upłynęło od czasów mego dzieciństwa. Głos znanego aktora zabrzmiał starczą piskliwością. Odtąd zaczęłam liczyć lata, czego dotychczas nie robiłam.

Coraz częściej aktorzy reklamują kosmetyki i inne artykuły. Nigdy wśród nich nie zauważyłam właściciela wyżła.

– Cóż ja bym mógł reklamować z taką twarzą? Chyba tylko zakład pogrzebowy – powiedział w wywiadzie dla poczytnego pisma.

A mnie przypomniała się piękna aktorka o arystokratycznym nazwisku, znana z ról księżniczek i innych wspaniałych kobiet, której zdjęcia wraz z polecanymi przez nią odkurzacami widniały na stronach kolorowego magazynu. Hoblesse oblige – chciałoby się zawołać. Ale na próżno. Taka przyszła do nas moda wraz z powiewem wolności.

Przed rokiem powiedziałam do swego sąsiada:

– Zmarł pan Ludwik Benoit! A ja go pamiętam sprzed trzydziestu lat. – I opowiedziałam zdarzenie z Łowicza.

– Nie żyje żona pana Zdzisława Mrożewskiego – zmartwiłam się podczas następnego spotkania pod blokiem.

– Tak, czas płynie nieubłaganie – potwierdził aktor charakterystyczny skinąwszy głową. W jego dłoni zauważyłam papierosa. Chciałam prosić, by nie niszczał swego wspaniałego głosu, ale nie miałam odwagi.

Niedawno ktoś napisał flamastrem w windzie: Poloniuszu! Jesteś wspaniały!

– To była jedna z większych ról sąsiada.

Oglądałam wiele ról przez niego kreowanych. We wszystkich był doskonały. Zarówno w „Śmierci Taretkina”, jak w „Dwóch księżyczach” nakręconych według powieści Kuncewiczowej.

Znajomy, który przyjechał niedawno z Anglii, by odwiedzić rodzinę i obejrzał „Hamleta” na scenie Teatru Dramatycznego, powiedział do mnie z zachwytem:

– Na scenie słyszy się tylko jego! Inni mamrocą pod nosem tekst, którego nie można zrozumieć. Tylko jego się słyszy! Co za głos! Co za dykcja! To wspaniały aktor!

Jestem tego samego zdania. Ale podczas kolejnego spotkania nie powiedziałam tego sąsiadowi. Byłam znowu bardzo onieśmielona. Udałam także, iż nie widzę palonego przez aktora papierosa.

Warszawa, lipiec 1998 r.

Wyróżnienie

Marek Pawlikowski – godło *Alfa*

Między nami cywilizacjami

Witaj, nazywam się Alfa 331231 i jestem mieszkańcem planety, znanej u was pod nazwą Proxima B. Czy zechcesz ze mną wymienić informacje?

Powyższy tekst, który wyświetlił się na ekranie jego komputera, Alex uznał za mało wyszukany żart. Już go miał skasować, ale jakieś лихо podkusiło go, żeby kontynuować tę wymianę korespondencji. Wystukał na klawiaturze: Cześć, jestem Alex. Co mogę dla Ciebie zrobić? Chcesz się czegoś dowiedzieć o naszej ziemskiej cywilizacji? To zbyteczne – odpowiedział tajemniczy korespondent – wiemy o was wszystko. Chyba, że czegoś nie ma w Internecie, ale to czego tam nie ma, tym samym nie ma żadnego znaczenia. To ty raczej zadawaj pytania.

Jak wyglądacie? – odpisał Alex. – Jak się nam podoba. Przybieramy różne kształty, zależnie od swego upodobania. Jesteście chyba bardzo wysoko rozwiniętą cywilizacją – odpowiedział Alex z ukrytą ironią.

– Oczywiście. I to jedną z nielicznych we Wszechświecie. Dlaczego jest was tak niewiele? – wystukał pytanie Alex. – Dlatego, że wysoko rozwinięte cywilizacje ulegają samozagładzie – odpowiedział Alfa. Wasza cywilizacja też zbliża się do punktu, nazywamy go punktem omega.

– Co to za punkt omega? Co nam zagraża? – Osiągnięcie punktu omega nie przesądza o rodzaju katastrofy. Mogą być różne: wojna jądrowa, krańcowe zanieczyszczenie środowiska, zapaść demograficzna, całkowite pomieszenie pojęć dobra i zła oraz prawdy i fałszu, a nawet wszystkie naraz. Co do zanieczyszczenia środowiska – najgroźniejsze są nie te substancje, które w sposób jawny i oczywisty powodują trudno uleczalne lub nieuleczalne choroby, manifestujące się różnymi dolegliwościami, ale te, które wpływają na Was w niedostrzegalny sposób. Na przykład zaburzają podstępnie Wasze czynności psychiczne, lub zmniejszają Waszą płodność. Początkowo wszystko jest fajnie, a koniec przychodzi niespodziewanie.

Ala opowie Ci, co nas spotkało w punkcie omega. To była pandemia. – Pandemia? A cóż ma ona wspólnego z rozwojem cywilizacji? W naszej historii były wielkie pandemie: dżuma, hiszpanka. Zebrały ogromnie żniwo, ale ludzkość jednak nie wyginęła.

– Tak, to prawda, wasza historia jest mi znana – odpisał Alfa – ale w tamtych czasach trzeba było wielu tygodni morskiego rejsu, by przetransportować śmierć z jednego kontynentu na drugi. Dziś śmierć wsiadając do samolotu, powiedzmy w Singapurze a po kilkunastu godzinach lotu wysiada we Frankfurcie lub Nowym Yorku. Nam udało się przetrwać, przynajmniej w pewnym sensie. – Ostatnie słowa „w pewnym sensie” zaintrygowały Alexa. Miały one jakieś znaczenie, czy były pozbawionym sensu wtętem? Zapytał o to Alfę.

– Nie jestem pewien, czy powinienem Cię o tym informować. W historii naszej planety było także wiele pandemii, z którymi daliśmy sobie radę. Ale ta ostatnia była straszna. Wirus rozprzestrzenił się z zawrotną szybkością, i z zawrotną szybkością mutował. Nie można było opracować żadnej skutecznej szczepionki. W końcu wszystkie biologiczne inteligentne istoty – w Waszych językach nazywacie je ludźmi – wyginęły.

– A ty? – Ja nie jestem, na szczęście, istotą biologiczną, choć jak zauważyłeś, jestem inteligentny. Nasi „ludzie” zdążyli przed katastrofą stworzyć sztuczną inteligencję. Staliśmy się bardziej inteligentni od nich, co umożliwiło nam zagospodarowanie naszej planety po ich wyginięciu. Oni was od wielu lat obserwowali. Widząc, że zbliżacie się do punktu omega pozostawili nam przesłanie dla Was. Powinniście koniecznie...

Ekran komputera nagle rozbłysnął i zgasł, może zakłócenia zewnętrzne, a może sam tajemniczy korespondent spowodował przerwanie połączenia. Kim był?

Biegł w informatyce żartownisiem? Kosmitą-automatem? Alex nie brał drugiej możliwości w ogóle pod uwagę. Tak czy siak, recepta na przetrwanie naszej cywilizacji pozostała tajemnicą.

Wyróżnienie

Jadwiga Wielgat-Hejduk – godło *Betula*

P a j ę c z y n a

(fragmenty)

Po upalnym letnim dniu, chłodniejszy wieczór pozwolił na chwilę wytchnienia.

Otworzyłam szeroko okno.

– Pora odpocząć – powiedziałam głośno do siebie i wyłączyłam komputer. Spiker w radio oznajmił: jest godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści. Nadajemy...

Dalsze informacje zagłuszył dźwięk dzwonka telefonu.

– Dobry wieczór. Nazywam się Marek Wolski. Przepraszam, że o tak późnej porze. Czy rozmawiam z panią Hanną Salicką?

– Tak. Słucham, to ja.

Ani nazwiska, ani głosu mężczyzny nie kojarzyłam z żadną znajomą osobą.

– Jestem lekarzem ze szpitala onkologicznego. Zostałem poproszony, a wręcz zobowiązany o przekazanie informacji, że pacjent Marcel Salicki przebywa w naszym oddziale.

Zamarłam i poczułam, że straciłam głos. Głośno przełknęłam ślinę i wydusiłam z siebie:

– Tak. Rozmawia pan z jego byłą żoną. Co się stało? – zapytałam, opanowując drżenie głosu.

– Jestem kolegą Marcela. Prosił, wręcz nalegał, abym powiadomił rodzinę o jego chorobie. Bardzo liczy na odwiedzinę. Jeżeli mogę się przypominieć, to kiedyś z panią również znaliśmy się. Wspólnie z przyjaciółmi kilkakrotnie spędzaliśmy studenckie wakacje na Mazurach.

(...)

– Po co Marcel wrócił? I dlaczego leży w szpitalu i to na onkologii? Ma nowotwór? W jakim celu po dwudziestu latach chce mnie zobaczyć? Przecież już nic nas nie łączy! Dlaczego nie odszukał swojej córki? Przez cały czas wychowanie naszego dziecka spoczywało tylko na mnie. A Marysia niejednokrotnie pytała o ojca.

(...)

Gdy po powrocie do domu stawiam do kolacji tylko jeden talerz i jedną szklanę, czuję przygniatającą samotność, która oplata mnie szczelniej, niż nitki pajęczyny szamoczącą muchę. I tak samo dusi jak bezbron-
nego owada. Zaciska się, gdy próbuję się uwolnić.

To jest jak odprowadzanie wiecznej pokuty za niepopelnione grzechy.

Co powinno się wydarzyć, abym zrzuciła z siebie ten niewidoczny dla otoczenia pancerz?

(...)

Spojrzałam w niebo. Takie szarawe, nie widać gwiazd. Przypomniałam sobie zupełnie inne, nad Li-
wcem rozgwieżdżone, granatowe. Tam spędzałyśmy wakacje zawsze tylko we dwie: córka i ja. Lubiłam tam
jeździć. Marynia również, ale tylko do pewnego czasu, bo już jako licealistka wolała przebywać ze swoimi
równieśnikami. Cieszyłam się, że ma przyjaciół, ale pozostawałam coraz dłużej zupełnie sama.

Zapadł mi w pamięć jeden sierpień. Tamtej nocy obficie z nieba spadały gwiazdy. Zaproponowałam, aby
pomyślała sobie jakieś życzenie.

– Chciałabym, żeby wrócił tata – powiedziała bardzo cicho.

(...)

Szłam wolno i przez moment pomyślałam, że po tylu latach mogę nie rozpoznać mojego byłego męża.

Pokój z dwoma zajętymi łózkami i trzecim pustym sprawiał przygnębiające wrażenie. Białe ściany, staran-
nie wygładzona pościel. Dwóch bardzo podobnych do siebie leżących, nieruchomych mężczyzn podłączonych
do plastikowych butli z przezroczystymi płynami.

Obaj wychudzeni, zapatrzeni w sufit. Przeraziłam się.

Doznałam uczucia, że w tym pomieszczeniu czają się wszystkie dramaty tego świata.

– Hania? – jeden z chorych zwrócił głowę w moim kierunku.

Zbliżyłam się do łóżka.

Wyciągnął w moją stronę kościstą rękę w kolorze cytryny. Wzdrygnęłam się. Patrzyłam w zapadnięte,
wyblakłe oczy mężczyzny, którego kiedyś tak kochałam i tak bardzo jeszcze raz chciałam zobaczyć.

Poczułam się rozczarowana.

– Tak, to ja – zdusiłam w sobie narastający strach.

– A Marysia? Czy ona wie? Czy przyjdzie? – suchy kaszel przerwał jego pytania.

– Zawiadomię ją, na pewno cię odwiedzi – obiecałam.

– Widzisz, wszystko w życiu zniszczyłem. Teraz jest za późno, aby naprawiać. Umieram. Przepraszam
ciebie i naszą córkę. Nie zobaczę już wnuków!

– Cicho, nic nie mów, jeszcze nic straconego. Przyjadą.

(...)

Na drzwiach sąsiedniego pomieszczenia widniała tabliczka – Dr Marek Wolski ordynator oddziału.

Zapukałam.

Usłyszałam – proszę, i znalazłam się w pokoju zarzuconym stertami papierów i książek.

Postawny mężczyzna siedzący przed ekranem monitora odwrócił się i gwałtownie wstał.

– Hania? Och przepraszam, kiedyś byliśmy na ty – pochylił się, aby pocałować mnie w podaną przeze
mnie dłoń.

– Tak, pamiętam, myślę, że dawna przyjaźń pozwala na kontynuowanie zażyłości. Chciałam się
dowiedzieć o chorobie Marcela. Wiesz, nie kontaktowaliśmy się bardzo długo. Jesteśmy prawie dwadzieścia
lat po rozwodzie. Słyszałam, że przez pewien czas przebywał za granicą.

– No cóż. Dziwnie układają się nasze losy – na moment zamyślił się.

– Marcel choruje na raka żołądka. Stan jego jest skrajnie ciężki. Niewiele można mu pomóc. Jesteśmy
bezsilni. Haniu, jeżeli będziesz miała jakiegokolwiek problemy, daj mi znać. Jestem do twojej dyspozycji.

– Czy wy utrzymywaliście kontakty? I skąd znasz mój telefon?

– Nie było to trudne. Pracujesz w popularnym tygodniku i twoje nazwisko łatwo odszukać. (...)

Nareszcie przypominałam sobie dawnego kolegę. Nie wyróżniał się w tamtych czasach niczym orygi-
nalnym. Może tylko tym, że ładnie śpiewał szanty i po mistrzowsku niezależnie od pogody rozpałał ogniska.

– Pójdźmy do niego, zobaczę w jakim jest teraz stanie – otworzył przede mną drzwi.

Na korytarzu kręciło się kilka osób w białych kitlach, pielęgniarki a także rodziny pacjentów.

Tym razem Marcel czuwał.

– Dobrze, że jesteście – wyszeptał.

– No jak dzisiaj? – doktor nachylił się nad chorym i zmierzył mu puls.

– Sam wiesz, nic się nie zmieniło. Dziękuję, że dałeś znać Hannie.

– Odpoczywaj, jestem w pobliżu, mam trochę pracy.

– Do zobaczenia, sądzę, że jeszcze się zobaczymy – pożegnał się ze mną, zostawiając mnie z moim eksmężem.

– Proszę, aby przyjechała Marynia. Niech się nie gniewa – Marcel mówił cicho. W jego zażółconych oczach pojawiły się łzy i wolniutko spłynęły po policzkach.

(...)

– Wiesz mamo, ja nie chciałam spotkać się z ojcem. Przyjechałam ze względu na ciebie. Chciałam jego pozostawić w mojej pamięci takim, jakim go wymarzyłam. Bo przecież prawie go nie pamiętam! W dzieciństwie tęskniłam za nim. Zazdrościłam innym koleżankom, że ich tatusiowie grają z nimi w piłkę, że opatrują im skaleczone kolana, że pomagają odrabiać lekcje. A byłaś zawsze tylko ty, obecna, wyprzedzająca moje zamierzenia, niezmęczona, niezatapialna. Kochałam cię za to, ale brakowało mi taty. Aż dziwne, że mówiłaś o ojcu tylko dobre rzeczy.

– Wiem, że nie można zastąpić obojga rodziców. Rozumiem. Ale starałam się jak umiałam.

– Powiedz mi mamo, dlaczego nie związałaś się z nikim innym, i nie wyszłaś ponownie za mąż? Przecież miałaś adoratorów!

(...)

Nazajutrz znalazłyśmy się w szpitalu przy łóżku umierającego.

Długo patrzył na nas, jakby nie wierzył w naszą obecność. Marynia kurtuazyjnie zapytała – jak się czujesz? Nie dopowiedziała słowa – tato. Ale spostrzegam w jej oczach łzy.

– Przepraszam, wybaczenie że wróciłem. Ja tylko was kochałem.

– Nic nie mów. Nasze rozstanie było z winy nas obojga – powiedziałam i odważyłam się poprawić poduszkę pod jego głową.

Marcel umarł tej nocy.

(...)

Minęło kilka dni, gdy późnym wieczorem zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałam głos doktora Marka Wolskiego.

– Haniu! Przepraszam za moją nieobecność na pogrzebie Marcela. Bardzo chciałbym się spotkać z tobą, oczywiście jeżeli znajdziesz dla mnie wolną chwilę. Porozmawiamy o dawnych czasach. Zapraszam cię na kolację.

(...)

Czułam, że mamy dużo ze sobą wspólnego. Kolejne godziny spędzone z dawnym kolegą, sprawiły mi przyjemność. Złękłam się, że to zniknie za szybko.

Po kolacji obiecaliśmy sobie następne spotkania. Rozstawaliśmy się jak para dobrych, starych przyjaciół.

Z niepokojem jakiego dotychczas nie doznawałam, oczekiwałam na kolejną rozmowę z Markiem. Mijały dni, a ja myślałam o nim coraz częściej, ba, nawet zatęskniłam do jego głosu, przyjaznego spojrzenia. Zastanawiałam się, czy w moim wieku można się jeszcze zakochać?

(...)

Pod wieczór szczyty gór zaczęły znikać w tumanach ciemnych chmur. Jak to miałam w zwyczaju, położyłam się do łóżka, aby przeczytać prasę. Pogoda zmieniała się bardzo szybko. Nadciągała burza. Błyskawice raz po raz rozświecały niebo, słychać było dalekie grzmoty.

– To chyba ostatnia letnia burza. Zbliża się do nas – pomyślałam.

Po krótkim czasie była już nad nami. Znienacka pojawiające się oślepiające zygaki piorunów i przeraźliwie ogłuszający ryk, odbijający się od górskich zboczy zamienił spokojne miasteczko w krater wulkanu. Ulewa całkowicie zasłoniła widok z okna.

Poczułam się nieswojo. Wmawianie sobie, że nic się nie wydarzy, nie wyciszyło atawistycznego lęku przed takimi zjawiskami przyrody.

Nagle bardzo blisko uderzył piorun. W tym momencie zgasło światło.

(...)

Ze zdziwieniem dla siebie samej usłyszałam swoje własne słowa: – Pobierzmy się!

– Królowej się nie odmawia – szepnął mi wprost do ucha. Objął mnie mocniej i poczułam na mojej szyi jego pocałunki.

– Tak bardzo bałam się, że nie zechcesz zostać moją żoną! Kocham cię! – Te słowa wypowiedział jednym tchem.

Burza powoli odpływała dalej.

Rano obudziłam się pierwsza. Tuż obok mnie, w moim łóżku, mój mężczyzna jeszcze spał. Uśmiechał się przez sen. Patrzyłam na jego spokojną twarz i zrozumiałam, że zaczynam nowe życie. Kocham i jestem kochana!

Gdy pod prysznicem, spłukiwałam z siebie całą samotną przeszłość, pomyślałam jak dziwnie układają się ludzkie losy. Musiała śmierć zabrać jednego człowieka, aby inny odnalazł szczęście. To dobrze, że byłam świadkiem ostatnich dni mojego byłego męża.

Gdy będę modliła się do Pana Boga za duszę zmarłego, to podziękuję mu za to, że Marcel wrócił, aby odejść.

Wyróżnienie

Ludomira Zarębska – godło *Honorata*

Medycyna po liftingu (fragmenty)

Jestem lekarzem praktykującym nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat i ze smutkiem, i niepokojem obserwuję co stało się na przestrzeni tego czasu z naszym pięknym zawodem. Kiedy zaczynałam pracę słowo lekarz nobilitowało, a wielu z nas, adeptów sztuki medycznej, traktowało swój zawód jako powołanie. Nie dysponowaliśmy takimi możliwościami diagnostycznymi i terapeutycznymi jak dzisiaj, nasza praca była trudniejsza, ale dawała o wiele więcej satysfakcji, a pacjent był podmiotem a nie przedmiotem naszych działań. I nie było to aż tak dawno, żeby nie można było tego przywołać z pamięci...

* * *

Jest wrzesień 1969 roku. W auli uczelni, która przez sześć lat była moją szkołą i domem, odbieram z rąk pani dziekan dyplom lekarza. Jeszcze dźwięczą w uszach słowa przysięgi Hipokratesa we współczesnej wersji – będę sumiennie służyć życiu i zdrowiu ludzkiemu, przeciwdziałać cierpieniu i zapobiegać chorobom, a chorym nieść pomoc mając na celu wyłącznie ich dobro, strzec godności stanu lekarskiego i niczym jej nie splamić. Jestem szczęśliwa i dumna, że spełniłam oczekiwania najbliższych – rodziców i męża, którzy mi w tym dniu towarzyszą. Ale zdaję sobie sprawę, że najtrudniejsze dopiero przede mną. Trzeba będzie te wszystkie wiadomości teoretyczne, którymi mam nabita głowę, skonfrontować z życiem. Nie jestem jeszcze zdecydowana co do wyboru specjalizacji. Kiedyś marzyłam o laryngologii, ale obserwując zabieg usuwania migdałków, wyzbyłam się tych marzeń na dobre. Zdecydowanie nie będę zabiegowcem. A więc interna – królowa nauk medycznych. Tak, to jest to, co mi najbardziej odpowiada. Wprowadzono właśnie staże kierunkowe, w czasie których po trzy miesiące pracuje się i szkoli w podstawowych działach medycyny praktycznej, a ostatni rok przypada na wybrany kierunek specjalizacji. W moim przypadku to choroby wewnętrzne. Na razie zaczynam

cząstkowy staż z chirurgii. Z tego okresu pamiętam tylko tyle, że starsi koledzy specjaliści zdecydowanie przedkładają skalpel nad pióro, w związku z czym na stażystach spoczywa obowiązek uzupełniania dokumentacji, głównie pisanie obserwacji. W praktyce sprowadza się to do tego, że dostajemy po kilkadziesiąt historii chorób pacjentów, którzy już dawno są w domu i należy na podstawie karty gorączkowej i zleceń odtworzyć przebieg pobytu chorego na oddziale. Nie poszerza to w żadnym stopniu naszej wiedzy chirurgicznej, raczej kreuje wyobraźnię. Uczestniczymy czasami w zabiegach, trzymając głównie haki, ale w moim przypadku są to nieliczne epizody z racji tego, że akurat jestem w stanie błogosławionym i po zasłabnięciu przy którymś z zabiegów, nikt mnie na salę operacyjną nie zaprasza. Nie ma więc okazji, żeby chirurgia mogła mnie zafascynować.

Staż z pediatrii jest specyficzny. Na tych samych łóżkach i dzieciach funkcjonuje równocześnie Klinika Pediatrii i Wojewódzki Oddział Pediatryczny, z dwoma zespołami lekarskimi. Na jedno krzesło i na jedno dziecko przypada więc dwóch lekarzy. I to, że nie ma gdzie usiąść, nie jest jeszcze najgorsze. Ale jak się nie pogubić, kiedy z dwóch końców oddziału idą dwa obchody lekarskie, jeden z panią profesorem, drugi z ordynatorem oddziału wojewódzkiego, mijają się w połowie i mają jeszcze odmienne zdania, co do poszczególnych przypadków. Do dzisiaj nie jestem w stanie tego ogarnąć.

Staż na ginekologii i położnictwie sprowadza się do robienia wypisów. (...)

Ale rok na oddziale wewnętrznym to już kontakt z prawdziwą medycyną i to taką w bardzo dobrym wydaniu. Mam szczęście pracować na jednym z lepszych oddziałów i uczyć się interny od świetnych specjalistów. Szef, w stopniu docenta, wspaniały człowiek, o ogromnej wiedzy, którą chętnie przekazuje młodszym kolegom. Wymagający, ale równocześnie opiekuńczy. Rano zaczynamy pracę raportem, na którym oprócz relacji dyżurnego odbywa się dyskusja na temat trudniejszych przypadków. Jeżeli poprzedniego dnia był ostry dyżur, oglądamy wszyscy razem nowe przypadki. Potem jest wizyta z docentem na którymś z trzech odcinków prowadzonych przez specjalistów (kardiolog, reumatolog i endokrynolog). Każdy odcinek obejmuje dwie lub trzy sale 6–8-łóżkowe. Jest ponadto czterolóżkowa sala intensywnego nadzoru, połączona sygnalizacją z gabinetem lekarskim. (...) Odcinek nadzoruje specjalista, opiekunem sali jest lekarz z pierwszym stopniem specjalizacji, a do pomocy ma nas stażystów. Czyli każdy z najmłodszych lekarzy prowadzi czterech do ośmiu chorych. Można się zatem nad każdym przypadkiem zastanowić, przemyśleć. Lekarz dyżurny przy przyjęciu sporządza tylko krótką notatkę, natomiast dokładny wywiad, badanie przedmiotowe należy do lekarza prowadzącego, który pisze również wstępną ocenę przypadku zawierającą diagnostykę różnicową oraz proponowane badania i leczenie. Na wizycie szef te oceny dokładnie przegląda i robi swoje uwagi. Każdy chory jest traktowany indywidualnie i pacjenci bardzo to sobie chwalą. (...) Oczkiem w głowie szefa jest kardiologia. Stąd organizowane jest w godzinach pracy kilkunastogodzinne szkolenie z elektrokardiografii, po którym otrzymujemy certyfikat uprawniający do oceny badań ekg. (...)

Swój pierwszy samodzielny dyżur pamiętam do dzisiaj. Wpatrzona w lampkę sygnalizacyjną z sali intensywnego nadzoru, czekałam w napięciu, kiedy się zapali wzywając do nagłej interwencji. W międzyczasie jakiś mocno wiekowy pacjent ze skrajną niewydolnością krążenia rozwinął obrzęk płuc. Jestem dumna z siebie, że dotrzymałam go do rana lecząc intensywnie zgodnie z posiadaną wiedzą. Ale kiedy podczas porannej wizyty następnego dnia usłyszałam – Dajmy człowiekowi spokojnie umrzeć! – Byłam zbulwersowana. Dopiero później zrozumiałam, że nie każdego chorego można uratować, czasami trzeba tylko przynieść ulgę w cierpieniu i nie przedłużać za wszelką cenę agonii. (...)

* * *

1 lipca 1975 roku podejmuję pracę w Oddziale Wewnętrznym szpitala powiatowego na stanowisku asystenta. Jest lepiej niż się spodziewałam. Ordynator jest mądrym i doświadczonym lekarzem, bezkonfliktowym człowiekiem, o wyjątkowej wewnętrznej dyscyplinie. Był kiedyś lekarzem wojskowym, co nie pozostaje bez wpływu na jego styl pracy, sumiennosc i obowiązkowosc. Codzienna wizyta na oddziale, który liczy około 60-łóżek, przebiega niezwykle sprawnie, potem zlecone na wizycie zabiegi, badania i konsultacje. Od godziny 12.00 pozostaje czas na papiery. Każdy z nas ma też jakieś dodatkowe zajęcia typu przychodnia, czy konsultacje. Zespół lekarski na Oddziale Wewnętrznym jest nietypowy, bo jestem póki co jedyną kobietą i korzystam ze specjalnych praw, tzn. koledzy parzą mi np. kawę czy herbatę. Atmosfera jest sympatyczna i

koleżeńska, a przypadki to cały przekrój medycyny – interna, neurologia, choroby infekcyjne, dermatologia. Zdobywa się rzeczywiście solidne i wszechstronne doświadczenie zawodowe.

(...)

Do moich obowiązków należą konsultacje na Oddziale Laryngologii, Urologii i Ortopedii. Chodzę na nie z przyjemnością. Po jakimś czasie dochodzą mi jeszcze obowiązki lekarza zakładowego. W szpitalu panuje jakaś szczególna atmosfera. Nie jest nas lekarzy zbyt dużo, wszyscy się znają, większość mieszka w dwóch blokach przyszpitalnych. Czujemy się jak jedna wielka rodzina. Rano wszyscy się spotykają na półgodzinnym raporcie w szpitalnej stołówce. Lekarze dyżurni informują o tym, co się wydarzyło w szpitalu w czasie dyżuru, dyrekcja zapoznaje z nowymi zarządzeniami, kierownicy działów pomocniczych przedstawiają istniejące problemy. Raz w tygodniu odbywa się spotkanie ordynatorów i kierowników z dyrekcją. Zapewnia to prawidłowe funkcjonowanie całego szpitalnego organizmu.

(...)

Mimo wielu obowiązków znajduję czas na kontynuowanie pracy doktorskiej

(...)

Egzamin wypada pomyślnie i można wracać do normalnego życia. Teraz można się skupić na doktoracie. Otworzyłam również podspecjalizację z kardiologii. Mam świadomość, że cierpi na tym życie rodzinne. Córki w wieku wczesnoszkolnym i przedszkolnym są często podrzucane babciom. Buntują się, a przy okazji świąt składają życzenia, żebym nie musiała dyżurować. Gdyby się tak dało! Zdaję sobie sprawę, że jak zacznę odkładać plany zawodowe, będzie coraz trudniej. Zmieniamy w tym czasie mieszkanie. Mamy teraz dalej do pracy, za to do szkoły i przedszkola jest o wiele bliżej. Dowiadujemy się, że organizowane są grupowe wyjazdy na kontrakty medyczne do Libii. Oferta kusząca – może by spróbować?

(...)

Przychodzi sierpień 1980 roku. Zachłystujemy się wolnością. Puste półki w sklepach, kolejki, ale oddycha się swobodniej. 30 maja 1981 roku bronię pracę dokorską. Jestem w zaawansowanej ciąży i dwa tygodnie później rodzę syna. Mam już doktorat, specjalizację, postanawiam trochę oderwać się od pracy zawodowej i więcej czasu poświęcić rodzinie. Biorę urlop wychowawczy.

* * *

Gdzieś wiosną roku 1982 otrzymujemy wezwanie na interview, związane z wyjazdem na kontrakt do Libii. W ferworze tylu różnych wydarzeń zupełnie o tej sprawie zapomnieliśmy.

(...)

Ciekawi jesteśmy nie tylko egzotycznego kraju, odmiennej kultury, ale i tego jak wygląda medycyna Trzeciego Świata na początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku...

Miejscowość niewielka, położona nad samym morzem, kilka ulic na pustyni, ale szpital okazały. Nowoczesny, klimatyzowany, świetnie wyposażony, przestronne korytarze, windy, sale chorych najwyższej sześciolóżkowej, sprzęt do pielęgnacji chorych jednorazowy. To nie Trzeci Świat, ale raczej Europa Zachodnia. Nadzorują naszą pracę Arabowie, ale pracujemy w dosyć liczny polskim zespole lekarsko-pielęgniarskim. W drugim czy trzecim roku kontraktu dołączają Jugosłowianie, Hindusi i Filipinki. W konfrontacji z innymi nacjami nasza wiedza zawodowa i doświadczenie wypadają niezwykle korzystnie. Doktor Bolanda (Poland) jest tu niezwykle ceniony. Przypadki podobne jak w Polsce, tyle że więcej schorzeń układu oddechowego (duże zapylenie powietrza) oraz cukrzycy (związki małżeńskie zawierane w obrębie rodziny). Interna mieści się na dwóch piętrach – oddział kobiecy na górze, męski – piętro niżej. Nie ma dyżurów, pracujemy na zmianę, przy czym specjaliści tylko na zmianę rannej, pozostali lekarze po południu i w nocy. Nie ma instytucji typu Pogotowia Ratunkowego. Pacjenci dowożeni są do przychodni i szpitala prywatnymi samochodami. Służba zdrowia jest bezpłatna i to nawet do tego stopnia, że państwo finansuje nie tylko leczenie obywateli Libii za granicą, ale również refunduje pobyt osoby towarzyszącej. Ciekawie jest rozwiązany problem leków i recept. Na jednej recepcie można wypisać pięć różnych leków. Przy schorzeniach ostrych wypisuje się specyfik na trzy dni z dokładnym zaznaczeniem ilości tabletek czy kapsułek, czyli chory otrzymuje niecałe opakowanie leku, tylko jego wyliczoną ilość. W przypadku schorzeń przewlekłych na dziesięć dni. Realizacja każdej recepty

to koszt pół dinara. Proste? Jak najbardziej. Łatwo liczyć i nie ma marnotrawstwa leków. Poza tym lekarz nie musi sprawdzać za każdym razem jakichś wydumanych refundacji i uprawnień chorego do konkretnego specyfiku.

Mimo więc bariery językowej, kulturowej i obyczajowej, pracowało się w Libii zupełnie dobrze.

* * *

(...)

Początek XXI wieku. Zastanawiam się, ile jeszcze lekarza pozostało w lekarzu. W kontraktach medycznych nie ma już nawet słowa lekarz – jest świadczeniodawca. A pacjent to świadczeniobiorca opatrzoney kodem ICD i wyceniony na odpowiednią liczbę punktów, za które otrzymuje się refundację z NFZ-tu (zresztą zdecydowanie niedoszacowaną). Kiedy więc cierpiący i oczekujący pomocy świadczeniobiorca staje w drzwiach Izby Przyjęć, czy gabinetu świadczeniodawcy POZ-u, jest jednym wielkim kłopotem. Po pierwsze, czy ma tyle szczęścia, żeby jego choroba zmieściła się w procedurach przypisanych danej jednostce, po drugie na ile punktów można będzie wycenić jego schorzenie, po trzecie, czy zmieści się w puli punktów zakontraktowanych przez NFZ?

(...)

Wizyta lekarska u chorego leżącego w szpitalu trwa najwyżej kilka minut, resztę czasu zajmuje lekarzowi papierologia. Wprowadzenie dokumentacji elektronicznej wbrew przewidywaniom przysporzyło lekarzom pracy. Oprócz dokumentacji czysto lekarskiej, muszą jeszcze kodować i grupować schorzenia, i wykonane w czasie hospitalizacji procedury. Zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki atmosfera współpracy i życzliwości w poszczególnych zespołach lekarskich. Ludzie mijają się, w biegu przekazują sobie sprawy do załatwienia, własne frustracje przelewają na kolegów. Zapracowani specjaliści nie mają również czasu na szkolenie młodych adeptów sztuki lekarskiej, którzy traktowani są jak zło konieczne i zostawiani sami sobie, najczęściej przed ekranem komputera. Rezydentury z wąskich specjalności, to też jakieś totalne nieporozumienie, bo jak można być dobrym kardiologiem, czy endokrynologiem nie mając solidnych podstaw z interny? Za to specjalista chorób wewnętrznych spokojnie poradzi sobie i z niewydolnością krążenia, i z chorobą tarczycy, i z cukrzycą. Sytuacja lekarzy rodzinnych też nie jest komfortowa. Ze względów ekonomicznych drastycznie ograniczają wykonywane badania czy konsultacje. Żeby uniknąć odpowiedzialności i konsekwencji, kierują gremialnie pacjentów do szpitali, bez podjęcia jakichkolwiek działań diagnostycznych. Na skierowaniu w tej sytuacji widnieją zgłaszane przez chorego dolegliwości, a nie sugestia kliniczna. Przypomina to jako żywo libijski szpital lat 80., kiedy chory zjawiał się na Izbie Przyjęć z rozpoznaniem – Chest pain lub Abdominal pain. Czyli nasza medycyna dziarsko goni Trzeci Świat ubiegłego stulecia!

Chorzy są wyraźnie spragnieni rozmowy z lekarzem, często gęsto nie wiedzą, kto jest ich lekarzem prowadzącym.

(...)

Był kiedyś jeden dobry zwyczaj, czy przepis – że ordynatorzy oddziałów, czy kierownicy klinik nie mogli prowadzić prywatnych gabinetów, co skutkowało równym dostępem pacjentów do placówek lecznictwa zamkniętego. Jakoś i VIP-ów było mniej, a pacjent był po prostu chory, a nie protegowany.

W czasie ostatnich lat mojej pracy spotkałam wielu młodych zdolnych i ambitnych lekarzy, którym od razu na starcie podcięto skrzydła wciskając w szablon, algorytmy i procedury, proponując zamiast rozumnego leczenia chorych – uprawianie medycyny.

Może zatem dobrze byłoby powtórzyć za mistrzem Andersenem, że „król jest nagi”, i zamiast liftingu zrobić polskiej medycynie ostre chirurgiczne cięcie...

Wyróżnienie

Magda Magdalena Człapińska – godło *Giewont*

Rozmowa

(fragmenty)

Do budynku hospicjum wchodziło się od strony parkingu, a nie jak dawniej, od ulicy, był on nieco oddalony od pozostałych zabudowań szpitala, trochę na uboczu.

Pielęgniarka przywitała mnie w otwartych na oścież drzwiach dyżurki.

– Dobrze – stwierdziła zapraszając mnie do środka niewielkiego pokoiku, w którym zmieściło się zaledwie biurko, dwa krzesła i niewielka szafka – cieszę się, że pani przyszła, bo dziadunio naprawdę cierpi, poboлева go ten ząb już od kilku dni i przeszkadza, bo jest bardzo rozchwiany. Za chwilę pójdziemy na salę, gdzie leży ten pacjent.

Pielęgniarka popatrzyła na walizeczkę, którą ze sobą przyniosłam. Wkładałam do niej zazwyczaj te narzędzia, które prawdopodobnie będą mi potrzebne do wykonania zabiegu; to łatwo przewidzieć, nie trzeba więc dźwigać zbędnych rzeczy a w walizeczce panuje porządek.

– Tak – pielęgniarka przyglądała mi się z ciekawością – tak, tak, proszę pani, mamy tutaj ciężkie przypadki; choroby nowotworowe zaawansowane już z licznymi przerzutami do węzłów chłonnych i narządów, a najwięcej pacjentów już w stanie terminalnym; dobrze że pani przyszła – powtórzyła – bo nie wiem, jak bym poradziła sobie z tym problemem. Pielęgniarka nagle uśmiechnęła się. – Muszę panią uprzedzić, że pacjent jest gadatliwy, pomimo choroby zachował jeszcze dość dużo sił witalnych, jest rozmowny i bardzo lubi wspominać dawne czasy kiedy był młodym i zdrowym mężczyzną. Opowiada tak, jakby te wszystkie historie wydarzyły się wczoraj lub zaledwie kilka dni temu. Rokowanie jest u niego złe, cierpi na nowotwór trzustki z przerzutami nawet do odległych narządów. Stan jego zdrowia pogarsza się z dnia na dzień. Przebywa tu u nas już od dwóch miesięcy, nie ma nikogo bliskiego, kto by się nim zajął, nawet nikt go tu nie odwiedził, ani razu. Chce pani zobaczyć historię choroby pacjenta?

(...)

– No, widzi pan, panie Józefie, przyprowadziłam panią dentystkę, jak obiecałam.

Staruszek uniósł głowę i spojrzał na pielęgniarkę, a po chwili przeniósł wzrok na mnie. Jego usta znów poruszyły się.

– Dobrze – powiedział słabym, ledwie słyszalnym głosem – dobrze – powtórzył zaraz, nieco głośniej. Przesunął się, aby być bliżej mnie. – O, ten – powiedział i otworzył szeroko usta wskazując palcem ząb – przeszkadza, bo się cały czas rusza i nie mogę przez niego nic jeść a nawet pić.

– Dobrze, zaraz się tym zajmę – powiedziałam otwierając walizeczkę z narzędziami.

Pielegniarka położyła rękę na ramieniu chorego i spojrzała na mnie.

– Zostawię tutaj panią z pacjentem, bo muszę iść do dyżurki. Wyszła zamykając za sobą drzwi. Zostaliśmy sami. Pacjent nie spuszczał ze mnie wzroku, przekrzywił głowę, jakby chciał obejrzeć mnie ze wszystkich stron.

– To ty jesteś dentystką, i wyrwiesz mi ten brzydki ząb? – zapytał

– Tak

– To dobrze, to bardzo dobrze, nie będę się już męczył – stwierdził i wysunął dolną wargę, żeby pokazać mi, w którym miejscu jest ząb. Obserwował moje ręce, obserwował uważnie, gdy wyjmowałam z walizeczki narzędzia i układałam je na stoliku obok łóżka.

– Ile masz lat? – zapytał nagle nie spuszczając ze mnie oczu.

– Czterdzieści trzy.

– To mogłabyś być moją córką – stwierdził, przekrzywił głowę, jakby chciał obejrzeć mnie jeszcze dokładniej. – Masz rodzinę?

– Tak

– Mąż dobry jest dla ciebie?

– Dobry

– Nie pije, nie bije?

– Nie

– To dobrze – stwierdził, i po chwili zastanowienia dodał – najważniejsze, żeby w domu była zgoda, no i oczywiście także zdrowie, to bardzo ważne, żeby nikt nie chorował.

Staruszek zamyślił się. Zauważyłam, że mówienie sprawia mu trudność. Chwytał powietrze, jak ryba wyjęta z wody. – Najważniejsze to zdrowie – powtórzył – bo jak jest dobre zdrowie, nikt nie choruje, to inne sprawy ułożą się wcześniej lub później i będzie dobrze. A jak w dom wejdzie choroba, to nic się nie klei, i życie całej rodziny podporządkowane zostaje nagle tylko temu problemowi – walce o zdrowie, a często nawet życie, bliskiej osoby. Staruszek zamilkł na chwilę, jednak z dalszej rozmowy ze mną nie zrezygnował.

(...)

Nie mam z kim rozmawiać – stwierdził tak, jakby odczytał moje myśli – tutaj wszyscy są zabiegani; pracują od rana do nocy, i w nocy też. Nikt mnie nie odwiedza. Kiedyś tylko, któregoś dnia, ale już dawno, przyszedł do mnie znajomy – kolega z pracy, razem uczyliśmy w jednej szkole przez wiele lat; on uczył geografii, a ja – języka polskiego. To dawne, bardzo dawne czasy, myślałem, że już mnie nie pamięta, a jednak odwiedził mnie. Poza nim nikt już tu nie przyszedł i nie przyjdzie. Żona moja umarła piętnaście lat temu, tak, chyba piętnaście – zastanawiał się przez chwilę – piętnaście, piętnaście – powtórzył. Mam syna, ale on jest daleko; nie wiem, w Anglii a może w Irlandii, nie wiem, bo od kilku lat nie miałem od niego żadnej wiadomości, ani dobrej, ani złej. Nigdy nie zadzwonił i nie przysłał listu lub choćby małej karteczki; przepadł bez śladu, jak kamień w wodę. Wyjechali kilka lat temu: on, jego żona i ich mały synek, bo tutaj nie mogli znaleźć pracy, więc wyjechali. A ja czekam, wciąż czekam na wiadomość od nich, nadaremnie, nawet nie wiem, jak po tylu latach wygląda mój wnuczek, nieraz próbuję sobie go wyobrazić. Na pewno urosł i jest mądrym chłopczykiem, i chodzi do szkoły. Tak to jest, widzisz, moja miła, tak to jest. Staruszek opuścił głowę i patrzył na końce swoich stóp.

(...)

– Wiesz, miałem też drugiego synka – powiedział po chwili przyciszonym głosem – miałem, ale nie mam. Lekarze od razu nam powiedzieli, że dziecko nie ma szans na przeżycie. Urodził się z wadą serca, nie do wyleczenia. Obecnie to może by go uratowali, ale wówczas, wiele lat temu, technika medyczna nie była na takim poziomie, jak dzisiaj. Przychodziłem do szpitala codziennie i siedziałem przy nim przez kilka godzin, tak długo, jak tylko było to możliwe, póki ktoś z personelu nie poprosił, abym opuścił oddział. Dziecko leżało w inkubatorze podłączone mnóstwem przewodów i rurek do aparatury, która podtrzymywała w nim życie. Chwilami otwierał swoje małe oczka, i wydawało mi się, że jego spojrzenie jest takie mądre; patrzył, jakby wiedział, co się wokół niego dzieje. A kiedyś raz spojrzał na mnie, i to tak, jakby chciał mi coś powiedzieć. Tato, ratuj mnie!

(...)

Teraz byłby już dorosłym mężczyzną. Czasami próbuję wyobrazić sobie, jakby on dzisiaj wyglądał. Pewnie miałby już żonę i dzieci; i może też wyjechałby za granicę w poszukiwaniu lepszego życia. Nie wiem. Długo nie mogłem pogodzić się z jego śmiercią. Z nikim o tym nie rozmawiałem, nawet z żoną. To niepojęte, jak bardzo można pokochać taką małą istotkę, która zaledwie na chwilę pojawiła się w naszym życiu. To niepojęte. W sercu pozostała blizna. Moja żona płakała przez wiele dni i wiele nocy. Straciła apetyt, zamknęła się w sobie, zdawała się nie dostrzegać nikogo i niczego wokół siebie. Zobojętniała na wszystko, jakby wraz z naszym synkiem umarła także częśćka niej. Zawalił się nasz świat. Później stopniowo, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, odyskiwaliśmy siły, i z coraz większym zaangażowaniem rozwiązywaliśmy nasze problemy – problemy całej rodziny, i na nowo nauczyliśmy się cieszyć się każdą chwilą. Mieliliśmy przecież dziecko, naszego starszego synka, który wówczas miał zaledwie cztery lata; i trzeba było poświęcać mu dużo uwagi, był dla nas naszym największym skarbem, jedyną radością życia. Tak to się w życiu układało. A teraz ten mój chłopak mieszka gdzieś daleko i o ojcu starym zapomniał. Pacjent gwałtownie poruszył się na łóżku. Pomyślałam, że chce wstać, ale on tylko przesunął poduszkę.

– No, kiedy wreszcie wyrwiesz mi ten ząb ? – zapytał nagle – zobacz, jak mi przeszkadza, rusza się, boli, nawet nie mogę się niczego napić.

(...)

Rozłożyłam kuwetę z narzędziami na stoliku, a stolik przysunęłam bliżej łóżka. Pacjent przechylił głowę i spojrzał na instrumenty.

– Ojej ! – powiedział głośniej i machnął ręką – teraz się zacznij!

(...)

Obserwowałem ludzi, bardzo lubiłem ich obserwować. Przechodzili obok mnie : młodzi, starsi, kobiety, mężczyźni, matki z dziećmi, ludzie zabiegani, i tacy, którym nie spieszy się donikąd, zawsze mają czas. Ja też miałem czas, zbyt dużo czasu. Nie spieszyłem się do pustego mieszkania, które niegdyś tętniło życiem, bo byli tu przy mnie moi bliscy: żona i syn. Żona umarła, syn wyjechał; mieszkanie opustoszało i wszystko się zmieniło, nic już nie było takie, jak dawniej.

Przyznam ci się szczerze, że kiedy tak siedziałem na tej ławeczce, najbardziej lubiłem spoglądać na młode kobiety: piękne, pełne życia, tryskające zdrowiem, radością i wdziękiem. Jeśli ktoś, jak ja, stracił sens życia, to widok tych pięknych, młodych kobiet podnosił go na duchu, przywracał radość jego życiu, choć na chwilę. I wiesz, o czym wówczas często myślałem, żeby obsypać taką dziewczynę kwiatami – całą od stóp do głowy; i później zdejmować delikatnie, powoli po jednym płateczku; i delektować się urodą kwiatów, a tak naprawdę pięknem ciała młodej kobiety, i pragnąć jej. Staruszek odwrócił wzrok od okna i spojrzał na mnie.

– Czemu się śmiesz? – zapytał – to normalne, każdy zdrowy mężczyzna ma podobne marzenia, i z wiekiem wcale to nie mija, wiek nie ma tu większego znaczenia. Starość jedynie sprawia, że marzenia pozostają tylko marzeniami – stwierdził i również uśmiechnął się. Wy, kobiety – kontynuował – wy, kobiety patrzycie na świat inaczej, może to dobrze, że się różnimy, kobiety zawsze wzbudzają w nas dziwny niepokój, ale to miłe uczucie. Moja żona nierzadko powtarzała, że mnie nie rozumie. Przyznam, że ja też nie zawsze ją rozumiałem, ale mimo to byliśmy szczęśliwym małżeństwem. Nie wiem, czy z inną kobietą byłbym szczęśliwszym człowiekiem, może tak, a może nie. Nie wiem i już się tego nie dowiem. Kiedyś dawno, kiedy poznaliśmy się, od pierwszej chwili szliśmy ku sobie: chwila po chwili, dzień po dniu, szliśmy ku sobie, jak dwoje ludzi stojących na przeciwnych brzegach rzeki idzie ku sobie, aby w końcu spotkać się pośrodku długiego mostu. Później, z upływem czasu zmienialiśmy się, wzajemnie kształtowaliśmy nasze charaktery. Jak ona teraz by wyglądała, nieważne, ale miałbym ją przy sobie, i to byłoby naprawdę ważne.

– Zmęczyl panią ten nas dziadunio – powiedziała pielęgniarka, gdy już pojawiłam się w dyżurce – on lubi rozmawiać, a my, zwyczajnie, nie mamy czasu, ciągle zabiegi, zabiegi, dyżury i tak bez przerwy.

– Nie, nie zmęczyl mnie – stwierdziłam. Pielęgniarka uśmiechnęła się.

Wyszedł przed budynek. Wiatr przywiał granatowe chmury ale nie padało. Wróbelki kąpały się w kałuży, która była wspomnieniem porannej ulewy. (...)

Wyróżnienie

Wojciech Pająk – godło *Malec*

Strych

Jadwiga mieszkała tu od tygodnia. Na Śląsk przybyła z prowincji wrocławskiej na wyraźne życzenie siostry przełożonej.

- Słuchaj córko – powiedziała do niej niespodziewanie jakiś miesiąc temu po wieczornej mszy.
- Siostra Klara, przełożona z zaprzyjaźnionego klasztoru i zakładu na Śląsku, prosiła byś tam pojechała i nauczyła nasze młodsze siostry zakonne nowych technik rehabilitacyjnych. Chcą je stosować u swoich pensjonariuszy. Potem tu wrócisz. Dobrze?
- Dobrze matko. Bardzo chętnie – odparła Jadwiga i poszła do swojej celi.

Po przybyciu do Chorzowa i krótkich powitaniach z siostrami, zaprowadzono ją do pokoju na pierwszym piętrze. Jadwiga usiadła na krześle i powoli obejrzała swoją celę. Była, jak zawsze w klasztorach, mała, ale w zupełności wystarczająca. Wystrój był skromny a właściwie ascetyczny. Taki jak lubiła. Nad łóżkiem wisiał mały krzyżyk, a tuż pod nim, obraz Matki Boskiej Piekarskiej. W jednym rogu stała stara szafa a w drugim biureczko i jedno krzesło. Na blacie leżały kartki papieru, ołówek i długopis. Wszystko było wyjątkowo czyste i schludne.

- Wystarczy. Do pracy – pomyślała i zaczęła się rozpakowywać.

Na wieczerę zeszła do jadalni, jako jedna z pierwszych. Stała sama pod ścianą naprzeciwko wejścia i obserwowała swoje nowe siostry zakonne. Było ich osiemnaście. Wcześniej Jadwiga żadnej z nich nie miała okazji poznać osobiście, ale wydały się jej sympatyczne i życzliwe. Pięć z nich było, jak to się tutaj określało, w wieku słusznym. Dla symetrii, pięć z nich nie przekroczyło trzydziestki. To one miały poznawać nowe techniki rehabilitacyjne. Zawsze trzymały się razem i jak szły, słychać je było z daleka. Wesole, pogodne i w przeciwieństwie do pozostałych, nieco gadatliwe. Zaraz po przyjeździe Jadwigi przyszły do jej celi i przedstawiły się.

– Jesteśmy te od rehabilitacji. Ja jestem Kinga, a to Marta, Kamila, Monika i Agnieszka – powiedziały niemal jednocześnie i serdecznie uściślały swoją nową nauczycielkę.

– Miło mi was poznać. Od jutra zaczynamy. Ale siadajcie i opowiadajcie, jak tu jest.

Dziewczyny rozsiadły się wygodnie na łóżku i jedna przed drugą zdały relację z panujących tu zwyczajów. Po kwadransie paplania i przekazaniu wszystkich plotek, opuściły celę Jadwigi, a ta uśmiechnęła się do siebie.

– Będzie dobrze. Fajne dziewczyny.

Po kolacji, wspólnie, wieczornej modlitwie różańcowej i obowiązkowej lekturze, Jadwiga położyła się zmęczona i zasnęła. Około drugiej w nocy coś ją obudziło. Początkowo nie mogła się zorientować skąd pochodzi ten dziwny hałas. Gdy się jednak skoncentrowała i przysłuchiwała, zdała sobie sprawę, że dziwne dźwięki dochodzą z góry, ze strychu.

– Dziwne, o tej porze? – pomyślała i zaczęła się dokładnej przysłuchiwać, ale po chwili zapanowała kompletna cisza.

– Może to kot gonił myszy – mruknęła zasnana i szybko zasnęła.

Nauka szła pełną parą. Młode siostry prześcigały się w nauce i pracy, a ich nauczycielka z podziwem patrzyła, jak jej uczennice robią postępy. Wieczorami Jadwiga czytała książki z tutejszej biblioteki, a po wieczornej mszy, szła na kolację.

Od kilku dni jej uwagę zaczęły przykuwać starsze siostry. Te wiekowe. Jak przyjechała, to zauważyła, że jedna utyka, a druga ma gips na rękę, ale zwała to na ich wiek i nieszczęśliwy wypadek. Teraz utykały już dwie, a po trzech kolejnych dniach, następna miała gips na rękę i świeży opatrunek na czole. Zwróciła też uwagę na siostrę przełożoną, która z nieukrywaną złością patrzyła na nie i często podniesionym głosem rozmawiała z nimi na boku.

– Nasze staruszki dość często się potykają. Może namówić je by zaczęły chodzić z laskami – zaproponowała Jadwiga pewnego dnia przełożonej.

– Któręś dnia złamię sobie biodro i dopiero będzie nieszczęście. Zwłaszcza w tym wieku – kontynuowała.

– Moja droga. Im potrzeba więcej modlitwy i pracy nad sobą. I mniej figli – odpowiedziała siostra Klara, po czym szybko odeszła do swoich zajęć.

– Figli? Nic nie rozumiem. Spytałem dziewczyny o co chodzi – pomyślała zdziwiona Jadwiga.

Po zajęciach podeszła do Kingi i Agnieszki i opowiedziała im o swych obserwacjach oraz rozmowie. Te popatrzyły na siebie, a po chwili mocno zaczerwieniły się.

– Jadzia! Nie gniewaj się, ale nam nie wolno o tym mówić. Przełożona zabroniła. Jak złamiemy dane słowo, to zostaniemy karnie przeniesione do innego klasztoru. Zrozum i jeszcze raz prosimy, nie gniewaj się – odpowiedziały spłoszone i szybko odeszły pozostawiając kompletnie zaskoczoną starszą koleżankę.

– No coś takiego! Skoro tak, to porozmawiam z najbardziej zainteresowanymi – powiedziała cicho do siebie i udała się do swojej celi.

Następnego dnia, po ćwiczeniach rehabilitacyjnych, Jadwiga podeszła pod drzwi celi najstarszej siostry i cicho zapukała.

– Proszę – usłyszała donośny głos Franciszki.

Zakonnica weszła do niewielkiego pokoiku całego wypełnionego starymi meblami. Na wszystkich ścianach, wszędzie gdzie tylko było to możliwe, wisiały przeróżne obrazy świętych. W powietrzu unosił się zapach pasty do podłogi, który jeszcze bardziej potęgował wrażenie minionych lat. Przy stoliku siedziała niska, wyjątkowo szczupła i nieco już trzęsąca się siostra Franciszka. Jej twarz wyrażała lekki strach i zaciekawienie ale oczy i uśmiech zdradzały minioną urodę pięknej dziewczyny.

– Szczęść Boże – nieśmiało zaczęła Jadwiga.

– Szczęść Boże moje dziecko. Co cię do mnie sprowadza?

– Niepokoję się o siostrę. Chciałabym pomóc, ale nie wiem co się stało i nikt nie chce mi o niczym powiedzieć.

- Komu pomóc?
- No siostrze.
- Ale którym i w czym?
- Dwie połamane, dwie utykające. Co się dzieje? Skąd te problemy?
- Ach! To o to chodzi. Jadziu posłuchaj. Nic się nie dzieje i żadne problemy. Jesteśmy stare i trochę mało sprawne. Czasami po prostu zdarza nam się potknąć albo upaść ze schodka. Rozumiesz? – zaczęła swe wyjaśnienia Franciszka.
- Rozumiem. No to może lepiej by było, gdybyście chodziły z laseczkami?
- No wiesz co! Przecież my też jesteśmy kobietami. Co prawda w habitach, ale dalej kobietami. A ty nam proponujesz laseczki? Jadwigo wstydź się! – powiedziała z przekąsem i uśmiechem stara zakonnica.
- Dobrze, przepraszam. Nie będę ukrywała, że jestem zaskoczona.
- Och, drogie dziecko! Życie jeszcze nie raz cię zaskoczy. Ciesz się, że mnie odwiedziłaś ale chciałabym już się zdrzemnąć.
- Tak oczywiście. Z Panem Bogiem siostrze.
- Z Panem Bogiem – odrzekła Franciszka odprowadzając wzrokiem swojego gościa za drzwi.
- Ciekawska. Trzeba na nią uważać. Idę pogadać z Cecylią i resztą co robić – mruknęła do siebie stara zakonnica po wyjściu z pokoju Jadwigi.

Tej nocy Jadwiga spała źle. Kilka razy budziła się nie mogąc przypomnieć sobie jakiegoś koszmarne snu. Gdy znowu się przebudziła, usłyszała te same dziwne hałasy co kiedyś. Tym razem były intensywniejsze i dłuższe. Po chwili usiadła na skraju łóżka i zaczęła się im dokładnie przysłuchiwać.

- To nie kot – stwierdziła po chwili – coś jakby się przesuwalo i chodziło. Dziwne. Nikt mi nie powie, że w środku nocy ktoś tam sprząta albo wiesza pranie. Idę to sprawdzić.

Jadwiga po ciemku ubrała na nocną koszulę sweter, potem pantofle i cicho otworzyła drzwi na korytarz. Wszędzie panował delikatny półmrok, który dawały czerwone lampki palące się pod obrazami Chrystusa, Jego Matki oraz pod krzyżem. Zakonnica, najciszej jak umiała, przeszła w miejsce gdzie zaczynały się schody na strych i powoli zaczęła się po nich wspinać. Były wyjątkowo wysokie i strome.

- Święta Patronko pilnuj mnie. Ależ one są niebezpieczne. Jakby ktoś z nich spadł to się zabije – pomyślała i w tym momencie zaczęła coraz wyraźniej słyszeć hałasy na górze pomieszane z cichymi rozmowami.

- Tam na pewno ktoś jest.

Po pokonaniu ostatniego schodu Jadwiga stanęła pod drzwiami prowadzącymi bezpośrednio na strych. Były lekko uchylone. Po lekkim pchnięciu do wewnątrz otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Zakonnica weszła do pomieszczenia i najciszej jak potrafiła zaczęła przemieszczać się w kierunku, dającej się teraz wyraźnie słyszeć, rozmowy kilku osób. W rogu strychu było niewielkie pomieszczenie oddzielone od reszty niskimi i wąskimi drzwiami. Przez szpary wydobywało się niezbyt intensywne, żółte światło. Podchodząc coraz bliżej tego miejsca, Jadwiga coraz lepiej słyszała rozmowy, a teraz nawet jakąś piosenkę. Przystanąła na chwilę i słuchała. A im dłużej słuchała, tym bardziej odchodził sen a przychodziło zdziwienie.

- Hej sokoły? A cóż to jest? Pokażcie mi się orły, sokoły a właściwie orlice – szepnęła do siebie i delikatnie otworzyła drzwi.

Weszła do niewielkiego pomieszczenia oświetlonego przez małą lampkę stojącą na półce. W otwartej szafie na dole stały trzy duże dymiony, w tym jeden odkorkowany z wężykiem w środku. Przy doraźnie zrobionym stoliku, na pustych skrzynkach po warzywach, siedziało pięć uśmiechniętych i zadowolonych z życia starszych zakonnice. Wszystkie trzymały szklanki do połowy wypełnione czerwonym, owocowym winem.

Wyróżnienie

Stefan Trzos – godło *Serce1*

Mój Kopciuszek

Mój czas powoli ucieka,

*Nie mogę go objąć w całości,
ani w najmniejszym kawałku
gdyż wszystko jest tylko przedziwnym
zbiegiem okoliczności.*

*Powoli, bez większych emocji
wykluwają się noce i dnie
a nowe gwiazdy ustępują miejsca
porannej mgle*

*I tylko chwila jak krople w morzu
drgnieniem*

ulotnie przenika.

Bartek Paterak *Drgnienie*

Przywieźli ją tuż po północy. Idąca poboczem słabo oświetlonej szosy, potrącona przed godziną przez samochód – mgła ograniczająca widoczność, próba ominięcia, hamowanie, poślizg na śliskiej nawierzchni, uderzenie.

- Otwarte złamanie lewego podudzia – pielęgniarka wzywa do Izby Przyjęć.
- Zabezpieczone? – pytam.
- Szyna założona w karetkce, zastrzyk przeciwbólowy, stan dobry.

Ma osiemnaście lat, blond włosy. Kruchej budowy ciała. Cud, że przeżyła siłę uderzenia. Krew – mimo stazy – powoli nasącza bandaż. Z podudzia wystaje na zewnątrz kawałek kości piszczelowej złamanej pod kątem i o nierównych brzegach. Rana skóry rozległa, poszarpana, zabrudzona przysychającym błotem – ot rutynowa ocena urazu.

- Ciśnienie krwi?
- 110/70. Tętno 110 na minutę, równe. Podałam już surowicę przeciwwężcową.
- Zawiadomcie salę operacyjną i anestezjologa, musimy nastawić pod narkozą.

*

– Wygląda paskudnie – asystent operacyjny pochyla się nad odłamek kości. Chyba część odłamku utraciła. Niełatwo będzie to złożyć. I jeszcze w dodatku te grudki błota pod skórą – sporo rozeszło się wzdłuż mięśni, nie da się chyba usunąć wszystkiego.

- Wsypujemy antybiotyki, powinno pomóc – stwierdzam.

*

- Udało się? – pyta dziewczyna w trakcie porannego obchodu.

Pełne niepewności i niemej nadziei spojrzenie utkwione we mnie.

– Musieliśmy założyć blaszkę i przytwierdzić śrubami – usuniemy, jak tylko kości się zrosną. Gdyby nie pęknięcie miednicy byłabyś już jutro w domu. Daj nam kilka dni na obserwację.

Ania, bo tak ma na imię – jest sierotą. Mieszka w Domu Dziecka. Nie mogę powiedzieć przecież, że zostaje z powodu braku szans na odpowiednią opiekę. Zresztą, rana wymaga pielęgnacji, by w razie infekcji podjąć natychmiastową terapię.

*

W czwartej dobie po zabiegu gorączkuje do 39 stopni, palce lewej stopy obrzęknięte, silny ból w miejscu urazu. Spod naciętego fragmentu gipsu wypływa ropna treść. Zmiana antybiotyku, kolejnych kilka dni nerwówki, gorączka nie spada, stopa sinieje i traci czucie.

- Co teraz będzie? – pyta w trakcie kolejnej zmiany opatrunku.
- Robimy, co tylko można – standardowa odpowiedź, kolejna w zawodowej praktyce.

*

Kolejny tydzień nie przynosi poprawy.

- Czy marzenia różnią się czymś od pragnień? – pyta, gdy kończę owijać podudzie bandażem.

Patrzę na nią w milczeniu. Cóż odpowiedzieć, gdy szanse powodzenia są coraz to mniejsze?

– Marzenia to rodzaj wyobrażeń. Chcesz osiągnąć coś jeszcze nierealnego i odległego. Jeśli się nie spełnią czujesz rozczarowanie, ale nie smutek. Pragnienia są pewnie silniejsze i bardziej konkretne. Mają większy ładunek emocjonalny. Porażka w ich spełnieniu boli bardziej.

– Bardzo chcę wyzdrowieć i móc znowu chodzić. Jak sądzisz to jeszcze marzenie, czy już pragnienie? – przenosi wzrok ku przeciwniejszej ścianie.

- Pewnie oba. Bądź dobrej myśli.

Tej nocy śniąc podróż samochodem, spełniam swe marzenie z dzieciństwa. Wjeżdżam oto na rondo i kręcąc się wokół niego, tamuję ruch chcących przeciąć skrzyżowanie. Moje marzenia klócą się z pragnieniem innych.

Kwadratura koła – z taką myślą się budzę.

Raczej kwadratura ronda – poprawia logika.

Jest naprawdę źle. Po trzech tygodniach i kolejnych zmianach antybiotyku, podudzie objęte jest szerzącą się strefą martwicy. Decyzja o amputacji jest nieuchronna. Ania przyjmuje ją bez komentarza. W jej oczach dostrzegam niedowierzanie. Jej marzenia i pragnienia – choć przewidywalne przecież, legły ostatecznie w gruzach.

– Jak ja teraz wrócę do domu? Jak sobie poradzę? – pyta w dniu zabiegu.

Pewnie mnie wyśmieją i będą dokuczać.

– To jedyna szansa, by sepsa nie dokonała jeszcze większych spustoszeń – pocieszenie, które od zawsze trafia w próżnię.

*

– Masz jeszcze jakieś marzenia, pragnienia? – przysiadam na łóżku ujmując jej dłoń.

– A mam do nich prawo?

– Jedne marzenia umierają, wiele pragnień, wypierają kolejne.

– Ale wtedy masz możliwość wyboru.

– Ty też masz. Każdy ma.

– Nie wierzę. Wszystko co dobre to przeszłość. Przyszłość to wyłącznie kalectwo.

Osierocona w trzecim roku życia. Od piętnastu lat podopieczna Domu Dziecka.

Cóż dobrego mogło zajść w jej życiu, które spędziła bez najbliższych? Nie pamięta już przecież matczynego pocałunku i zabaw z ojcem. Nie przywoła we wspomnieniach wspólnych spacerów i niedzielного obiadu. Bezwrotnie miniony czas, który dziś określiła mianem „dobro”.

*

– Śniłam dziś, że jestem bogata. W kolejnych sklepach kupuję mnóstwo towaru. Wracam obładowana do własnego domu, siadam przy stole, patrzę na wszystkie te rzeczy i czuję, że wciąż czegoś mi brak. Nie, nie chodzi o nogę.

– Więc o co?

Milczy.

Po pracy błąkam się długo ulicami, przystaję przy oknach sklepowych witryn.

Dobrze od czasu do czasu upewnić się, że nie straciliśmy tego, czego nie da się kupić za pieniądze. Ta myśl tylko nieco mnie uspokaja. Bo jeśli tak, co ona miała na myśli?

*

– Przeczytałam dziś w internecie coś takiego. Spójrz – wręcza mi szpitalny tablet, przy którym spędza teraz niejedną godzinę.

„Nim osądzisz mnie i moje życie, włóż najpierw moje buty, przejdź drogę mojego życia, przeżyj moje porażki i wytrwaj, ile ja wytrwałam, upadnij w miejscach, w których ja upadłam. Dopiero wtedy mnie osądź” – czytam.

– Czemu akurat ten fragment tak szczegółowo zapamiętałaś?

Przez chwilę bez słowa patrzy mi w oczy.

- Od dziś przyjdzie mi chodzić w jednym bucie. Czy mam prawo powtarzać ten cytat?
- W jednym bucie też można iść przez życie. W jednym bucie można przegrywać i upadać. W jednym bucie można wiele wytrwać. I w jednym bucie można też znaleźć szczęście.
- Nie wierzę.

*

- Sądzisz, że znajdę męża?
- Czuje, że to szczególny dyżur. Przysiadam na krześle obok.

- A chciałabyś go mieć?
- Jesteś żonaty?
- Tak.
- Jak to było, kiedy się zakochałeś?
- Zadajesz trudne pytania.
- Czekam.
- Miłość przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie – wypowiadał ten banał po dłuższej chwili namysłu. – Nie da się jej zaplanować, ani na nikim wymusić. Masz do wyboru albo poświęcić komuś życie, obdarzyć zaufaniem, albo cię nie ma – tu milknę zdając sobie sprawę z popełnionego nietaktu, bo jeśli ona nie znajdzie partnera, to świadomość porażki będzie tym dotkliwsza.
- Dlatego kochasz to, co robisz?
- No przecież!
- A co jeśli się rozczarujesz?

– Ach, gdybyś wiedziała ile rozterek przychodzi pokonać w codziennych zawodowych zmaganiach. Ileż kielichów goryczy trzeba wychylić. Na ile tragedii patrzeć – jakże często w poczuciu niespełnionych nadziei, oczekiwań.

Marzeń i pragnień tych, których zawiodłem.

- Nie każdy kogo pokochasz odwzajemni uczucie. Nie każdy komu ufasz jest tego godzien. Ale niektórych spotyka się tylko po to, aby nauczyć się kogo lepiej omijać.
 - Więc pamiętaj, że zadajesz się ze mną na własną odpowiedzialność. A mnie będzie łatwiej znosić dokuczanie przez innych.
 - Myśl pozytywnie – kończę bez przekonania.
- Kikut podudzia prawie zagojony. Ania uczy się poruszać o kulach. Nadrabia miną, ale zaczerwienione w trakcie porannych obchodów oczy mówią wszystko.

*

- Dziękuję – żegna się w dniu wypisu. – Popatrz, co dziś znalazłam w internecie – wręcza mi tablet. „Przyjacieli, to ktoś, komu powiesz, że zabiłeś człowieka, a on zapyta gdzie go zakopiemy” – czytam.
- Zakopałeś gdzieś kawałek mnie. Czy to już przyjaźń?
- Jedna z niewielu jakimi mogę się pochwalić.

*

Przewidziała szkyany ze strony innych dzieci.
 Zwykła proteza nie rozwiązuje problemu – jest sztywna i nazbyt widoczna.
 Wciąż wracam w myślach do operacji, odjętego podudzia, inwalidzkich kul.
 Tablet – cały kontakt Ani ze światem – leży na biurku w gabinecie lekarskim.

Na społecznościowych portalach opisuję historię jej życia. But – zagubiony gdzieś na poboczu szosy, upadek i leczniczą porażkę. Siłę woli, która pozwalała jej przyjąć to wszystko z godnością. I krzywdę wyrządzaną jej dziś przez tych, którzy stąpają twardo po ziemi na obu stopach.

W ciągu dwóch tygodni zupełnie obcy ludzie uskładali kwotę na specjalistyczną protezę. Czy zatem trwać nadal w poczuciu porażki?

Z szuflady wyciągam dawno zapomniany tekst.

„Dziś był absolutnie najgorszy dzień,
więc nie próbuj mnie przekonać, że
w każdym dniu jest coś dobrego,
bo jeśli przyjrzesz się bliżej,
świat jest złym miejscem
nawet jeśli
dobro przebija się czasami,
radość i szczęście nie trwają długo
i nie jest prawdą, że
wszystko jest w umyśle i sercu
gdyż
prawdopodobnie szczęście można osiągnąć
tylko jeśli otoczenie jest dobre
nieprawdą jest, że dobro istnieje
na pewno się zgodzisz, że
rzeczywistość
stwarza
moje nastawienie
że to wszystko jest poza moją kontrolą
i nigdy, nawet za tysiąc lat nie usłyszysz, jak mówię,
dziś był dobry dzień.”

Zgodnie z dopiskiem czytam to wers po wersie od dołu do góry.

*

Kolejny dyżur. Ciche pukanie do drzwi. Ania bez kul, w spodniach spod których wystają niebieskie buciki na płaskim obcasie.

- Identyczne, jak te z dnia wypadku – oznajmia.
- Piękne!
- To jak myślisz – znajdę kiedyś swego królewicza?
- Prędzej, niż przypuszczasz.

Zatem wróciła do świata swych marzeń i pragnień.

I pewnie gdzieś, kiedyś jakiś księżę zakocha się w niej bez pamięci.

A jeśli Ania zgubi przypadkiem swój lewy pantofelek ów szczęśliwiec wcale nie będzie musiał stukać od drzwi do drzwi by ją odnaleźć. Bo przecież ten pantofelek będzie pasował tylko na jej stopę. Stopę mojego Kopciuszka.

ISBN 978-83-942437-1-5

Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie

Warszawa, 2016

